



Susza – nasz wspólny problem

Potrzebna jest zmiana świadomości społecznej w podejściu do wody. Już dziś trzeba głośno mówić, jak bardzo jest ona cenna.

str. 2



Papież, który zatrzymał komunizm

Zdaniem analityków to „święte przymierze” między Ronaldem Reaganem a Janem Pawłem II przyczyniło się do upadku komunizmu.

str. 24

PO GODZINACH

MAGAZYN WARSZAWSKI

ISSN 2719-3810

nr 3(4) maj 2020



Mentalność mistrza szansą na sukces

Zawodowy sport to wyczerpujące treningi i odrobina szczęścia. Wyznaje ks. Andrzejowi Chibowskiemu, wiceprezes PZLA Tomasz Majewski, dwukrotny złoty medalista igrzysk olimpijskich w pchnięciu kulą, mistrz świata i Europy, wielokrotny mistrz i rekordzista Polski.

fot. archiwum rodzinne

Na prośbę zrobienia z Panem Prezesem wywiadu do gazety „Po Godzinach” usłyszeliśmy: „Bardzo proszę, nawet dzisiaj, tylko po godz. 19.00, jak uda mi się ułożyć syna do snu”. Przyznam się, że nawet jako ksiądz nie bardzo sobie wyobrażałem jednego z naj-

większych polskich gladiatorów układających dziecko do snu. Stąd też moje pytanie, czym dla Pana jest rodzina, jaką rolę odgrywała w Pana życiu, kiedy Pan był czynnym zawodnikiem i jaką rolę spełnia obecnie? Czy w swojej bogatej karierze sportowej i te-

raz ma Pan wsparcie w żonie i rodzinie?

Rodzina i ustabilizowane życie rodzinne jest dla mnie rzeczą bardzo ważną. Bez żony i ułożonego życia rodzinnego trudno byłoby osiągnąć sukcesy sportowe. Dlatego każdą wolną chwilę poświęcam swojej rodzinie.

Co sprawiło, że zajął się Pan sportem? Jaki wpływ miał na to dom rodzinny?

Byłem młodym, pełnym energii chłopakiem i jak wielu moich kolegów, interesowałem się sportem. Od najmłodszych lat

Dokończenie na str. 16 ▶

W tym numerze:



Drony w służbie transportu medycznego

Revolucja dzieje się na naszych oczach. W świecie ogarniętym pandemią tego rodzaju usługi szybko zyskują na wartości.

str. 4



W rocznicę zakończenia II wojny światowej

Mija kolejna rocznica wykonania wyroku śmierci na rotmistrzu Witoldzie Pileckim.

str. 18



Czas pożegnać z dawnym porządkiem świata?

Czekamy na wielki powrót normalności, zadając sobie jednocześnie pytanie, czym ta normalność właściwie jest.

str. 29



Dzieci same szukają wiedzy

Rozmowa z Marią i Marcinem Rossami o edukacji domowej

str. 30

SPOŁECZEŃSTWO

Susza nasz wspólny problem



Prof. dr hab. inż.
Marek Gugala

Musimy zacząć edukować społeczeństwo, że wodę należy oszczędzać. Potrzebna jest również zmiana świadomości społecznej w podejściu do wody.

Jeszcze kilkanaście lat temu sądzono, że największym konfliktów na Ziemi będzie o nośniki energii (ropa naftowa czy gaz ziemny) natomiast dziś coraz większym problemem staje się brak lub coraz bardziej ograniczony dostęp do wody. Wody słodkie stanowią zaledwie 2,0 – 2,5 proc. ogólnych zasobów, a z tej objętości prawie 68 proc. zgromadzona jest w lodowcach i śniegach. Człowiek jako źródło wody pitnej wykorzystuje wodę słodką, pochodzącą z wód powierzchniowych i podziemnych, która stanowi niecały 1 proc. zapasów. Dlatego z pełną stanowczością należy podkreślić, że na naszej błękitnej planecie dostępna woda słodka należy do zasobów deficytowych, zwłaszcza, jeśli weźmiemy pod uwagę jej nierównomierne rozmiesz-

czenie na Ziemi. Zasoby wodne przypadające na 1 mieszkańca naszej planety w 1950 roku wynosiły średnio 15 400 m³/rok, czterdzieści lat później było to już tylko – 7500 m³/rok, natomiast prognozy na 2025 rok to od 4400 do 5100 m³/rok. W Polsce zasoby wodne przypadające na jednego mieszkańca są bardzo małe i wynoszą obecnie od 1500 do 1800 m³ wody rocznie, a w centralnych regionach kraju obniżają się do około 1000 m³. Biorąc pod uwagę ten wskaźnik, nasz kraj znajduje się w grupie państw, którym grozi deficyt wody, gdzie średnia ilość wody przypadająca na jednego mieszkańca Europy jest 2,5 razy większa i wynosi ok. 4500 m³/rok.

Deficyt wody w Polsce

Jak widzimy zasoby wodne Polski są niewielkie i wciąż zmniejszają się. Głównymi przyczynami takiej sytuacji są: dłuższe serie lat o niskich opadach atmosferycznych deszczu, bezśnieżne zimy, odwodnienia budowlane, nadmierna eksploatacja wód głębszych, odwodnienia górnicze i niektóre zabiegi wodno-melioracyjne (regulacje rzek, obwałowania, odwodnienia terenów dolinowych, torfowisk czy bagien).

Pogłębiający się deficyt wody w Polsce wpływa nie tylko na rolnictwo, prowadząc w najbliższej przyszłości do znacznego wzrostu cen żywności, ale również i na gospodarkę w tym tak strategiczną energetykę, gdyż woda odgrywa kluczową rolę w elektrowniach konwencjonalnych i jej braki mogą prowa-



foto: Markus Spiske / unsplash

Aby poprawić stan zasobów wodnych konieczne jest retencjonowanie tj. gromadzenie wody i przetrzymywanie jej przez dłuższy okres. Dlatego powinniśmy promować zarówno dużą jak i małą retencję.

dzić do ograniczenia produkcji, przerw w dostawie prądu, a to z kolei może się negatywnie odbić na gospodarce kraju i życiu jej mieszkańców.

Aby poprawić stan zasobów wodnych konieczne jest retencjonowanie tj. gromadzenie wody i przetrzymywanie jej przez dłuższy okres. Dlatego powinniśmy promować zarówno dużą jak i małą retencję. Duże zbiorniki retencyjne przez cały rok zapewniają stabilność poziomu wód podziemnych na terenach przyległych. Na ich powstaniu zyskują także użytkownicy ujmujący wody powierzchniowe. Takie zbiorniki również regulują przepływ rzek z nich wypływających przez co opóźniają i obniżają intensywność suszy hydrolo-

gicznej. Mała retencja natomiast zatrzymuje lub spowalnia spływ wód przy jednoczesnym zachowaniu i wspieraniu rozwoju krajobrazu naturalnego. Obecnie retencja w Polsce utrzymuje się na poziomie około 6,5 procent średniego odpływu, powinna być przynajmniej dwa razy większa, aby zgromadzone zasoby zaspokoiły potrzeby ludzi, gospodarki i środowiska. Dlatego też działania na rzecz retencji powinny prowadzić nie tylko instytucje państwowe, ale też samorządy, organizacje społeczne, rolnicy oraz my wszyscy. Wodą trzeba gospodarować w sposób odpowiedzialny i zrównoważony – zarówno w skali gospodarstwa domowego, gminy, województwa jak i całego kraju.

Luksus zużywa wodę

Już dziś trzeba głośno mówić, że woda jest cenna. Musimy zacząć edukować społeczeństwo, że wodę należy oszczędzać. Potrzebna jest również zmiana świadomości społecznej w podejściu do wody. Nie do wszystkiego trzeba używać najwyższej jakości wody pitnej. Problem marnowania

wody to również problem wyrzucania żywności, na wyprodukowanie której potrzebne są miliony hektolitrow wody. Jako przykład może posłużyć to, że do wyprodukowania bochenka chleba potrzeba zużyć około 400 l wody, 1 kg wołowiny 4500 l wody, 1 l piwa 7 – 8 l wody, a szklanki soku pomarańczowego – 50 szklanek wody. Również luksus potrzebuje wody. Do produkcji jednego samochodu zużywa się około 350 000 litrów wody, wyprodukowanie 1 kg papieru wymaga ok. 200 – 300 l wody, a rafinacja 1 tony ropy naftowej – 15 000 l wody. Przykłady te można mnożyć.

Problem deficytu wody i związanego z nim zjawiska suszy wynika również z nasilającej się antropopresji (ogół działań ludzkich, mających wpływ na środowisko przyrodnicze, wynikających z wykorzystywania zasobów naturalnych w celu zaspokajania własnych potrzeb), jak i zmian klimatu. Dziś bardzo często widzimy powszechny, chaotyczny proces urbanizacji. Deweloperzy w miastach prześcigają się w projektach, by jak najwięcej mieszkań ułożyć na zakupionym gruncie nie patrząc na zapewnienie stref zieleni i relaksu, a my potencjalni klienci godzimy się na to. Projektanci dla dizajnu i wygody mieszkańców „betonują” wszystko dookoła, a przecież w wielu miejscach (np. parkingi) zamiast asfaltu czy kostki brukowej można zastosować płyty ażurowe, umożliwiające wsiąkanie wód opadowych, a następnie parowanie. Miasta chętnie rewitalizują swoje tereny i nie ma w tym nic złego, o ile robią to mądrze. Niestety, bardzo często rewitalizacja odbywa się kosztem terenów zielonych, a place, skwery, rynki czy centra zamieniają w „betonowe patelnie” i to uszczelnianie powierzchni przyczynia się również do zmiany bilansu zasobów wodnych a w przypadku ulewnych deszczy prowadzi do zalań ulic i podtopień.

Jeżeli już dziś wspólnie nie zadamy o rozsądne gospodarowanie wodą zarówno w sposób bezpośredni, jak i pośredni to problemy związane z deficytem wody i jej dostępnością będą się powiększać, zagrażając egzystencji kolejnych pokoleń. ■

Prof. dr hab. inż. Marek Gugala

Profesor nauk rolniczych, wykładowca akademicki w Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach. Autor i współautor ponad 500 publikacji naukowych o tematyce rolniczej publikowanych w periodykach o zasięgu krajowym i międzynarodowym. Twórca około 30 patentów i wzorów użytkowych. A „po godzinach” rolnik – prowadzący rodzinne gospodarstwo rolne.

PO GODZINACH

MAGAZYN WARSZAWSKI

WYDAWCA:



REDAKTOR NACZELNY:

Bartosz Wieczorek
bartosz.wieczorek@pogodzinach.info

BIURO REKLAMY:

reklama@pogodzinach.info
tel. 692 476 577

DYSTRYBUCJA:

Aglomeracja warszawska

ZDJĘCIA:

Zasoby własne

OPRACOWANIE GRAFICZNE

I SKŁAD:

Agencja Wydawnicza IDEAPRESS

■ FELIETON

Przedsiębiorcom należy się realna pomoc

Jak głosi ludowa prawda, śmierć z powodu choroby nie jest jedyną znaną formą śmierci. Jest znana śmierć cywilna i przede wszystkim śmierć głodowa. W wielu państwach reakcja na ograniczenia związane z koronawirusem są komentowane w ten właśnie sposób.

Opowiadano mi autentyczną historię z Meksyku o tym, że uliczni sprzedawcy świadomie łamali powodowany koronawirusem zakaz handlu ulicznego, argumentując to stwierdzeniem, że jeżeli nie będą mogli osiągnąć jakiegoś utargu dziennego, to po prostu nie starczy im na jedzenie dla swoich rodzin. Wolą zatem zaryzykować niepewne zakażenie kosztem pewnej śmierci głodowej.

Gdzie tu logika?

Uniemożliwienie wybiórczo decyzjami administracyjnymi prowadzenia działalności zarobkowej części społeczeństwa jest decyzją bardzo kontrowersyjną. Bo powiedzmy sobie szczerze – nigdy nie zawieszono wszystkich rodzajów wykonywania pracy. I tak wystarczy sobie uświadomić, że nigdy nie zawieszono prac budowlanych, prac biurowych i oczywiście pracy instytucji finansowych operujących pieniędzmi społeczeństwa czyli banków. Każdy widział i widzi tłumy pracowników budowlanych paradujących podczas przerw w pracy tłumnie po ulicach i chodnikach przy całkowitym niezachowywaniu żadnych zasad odległości między sobą i w zasadzie w większości nie nakładających żadnych maseczek. Czyli to wolno, a sprzedawać na ulicy już nie – gdzie tu logika?

Zadziwiająca praktyka traktowania jednych sektorów jako absolutnie nie do zamknięcia, a innych – w tym kościołów – jako podejrzanych miejsc, które należy objąć administracyjną kontrolą. Największa sieć sprzedaży w Polsce należąca do portugalskiego koncernu Jeronimo Martins – Biedronka, z powodu pandemii Covid19 nie zamknęła ani jednego sklepu. Jak to możliwe że na prawie 90 tysięcy pracowników żaden nie zachorował?



fol. Josue Isai Ramos Figueroa/unspash

Pozbawiono nas administracyjnie w tym czasie przeżywania w kościołach świąt Wielkiej Nocy, jakby kościoły były wysiewem pandemii. Co gorsza ten trend jest kontynuowany. Przy jednoczesnym otwarciu galerii handlowych ogłoszono kolejną administracyjną decyzję o odwołaniu czerwcowego ogłoszenia błogosławionym Kardynała Wyszyńskiego i przełożeniu tego wydarzenia na niekreślony czas. Nie jest prawdą, że wraz z odblokowywaniem gospodarki wszystko będzie jak dawniej. Firmy będą musiały się ratować – w związku z brakiem przychodów – radykalnym cięciem kosztów. Przede wszystkim kosztów osobowych. Ale nie tylko. Cięcie kosztów będzie dotyczyło także całego szeregu usług, na czele z prawniczymi, medialnymi, związkowymi, samochodowymi. Oczywiście także powszechnym

zjawiskiem będzie obniżanie wynagrodzeń. W pierwszej kolejności skutki tych oszczędności poniosą te osoby, które dorabiają sobie w usługach. W efekcie trzeba się będzie liczyć ze wzrostem oficjalnego bezrobocia.

Środki zaradcze

W pierwszej kolejności dla utrzymania miejsc pracy przedsiębiorcy muszą otrzymać możliwość otrzymania niskoprocentowanego kredytu na uruchomienie na nowo działalności, który umożliwi zarówno pokrycie strat wynikających z przestoju, jak i pozwoli na utrzymanie zatrudnienia. Kredyt co najmniej dwuroczny, którego warunki spłaty można powiązać z utrzymaniem zatrudnienia. Od lat podobne warunki stosuje z powodzeniem fundusz dla niepełnosprawnych, finansując tworzenie miejsc pracy.

„Nie jest prawdą, że wraz z odblokowywaniem gospodarki wszystko będzie jak dawniej. Firmy będą musiały się ratować – w związku z brakiem przychodów – radykalnym cięciem kosztów.”

Przesunięcia składania deklaracji podatkowych przez przedsiębiorców o kilka miesięcy oraz zwolnienia ze składek ZUS są całkowicie niewystarczające. Pozornie pomagają, w rzeczywistości powodują kumulowanie się zobowiązań, które za parę miesięcy przekształcą się w za-

ciśniętą pętlę zobowiązań. Nie chodzi bowiem o kilkumiesięczne zawieszenie, ale umożliwienie ponownego restartu, na co są konieczne nowe środki i pozostawienie co najmniej rocznego czasu na pokrycie kosztów restartu.

Jeżeli chodzi o pracowników, którzy utracą pracę w okresie pandemii państwo nie powinno w prosty sposób dorzucać ich do listy bezrobotnych i w upokarzającej procedurze kazać ubiegać się o zasiłek na parę miesięcy. Przede wszystkim należy uruchomić tanią linię kredytową, dzięki której zwalniani pracownicy będą mogli od razu uzyskać środki na życie i pokrycie zobowiązań o odpowiednio długiej karencji spłaty i czasie trwania. Tymczasem państwo właśnie skasowało możliwość uzyskania pożyczki bez tzw. BIG i tym samym skazało większość pracowników, którzy utracili bądź utracą pracę na śmierć cywilną, gdyż żaden bank w obecnej sytuacji prawnej nie może udzielić kredytu osobie bez stałej pracy. Zadziwiająca bezmyślność legislacji państwowej, która najwyraźniej nastawiona jest przede wszystkim na ochronę zysków bankowych, a nie ochronę pracowników.

Państwo ze swojej strony poza wsparciem swoimi instytucjami finansowymi jak BGK i NBP powinno uruchomić specjalny program inwestycji publicznych, w których zatrudnienie mogą znaleźć liczne rzesze pozostawionych samymi sobie pracowników fizycznych.

Kolejny krok to inwestycje budowlane inicjowane przez państwo także ze środków unijnych. Jak do tej pory nie ogłoszono takiego programu. Ale wciąż pozostaje wiara, że może się tak wydarzyć. ■

■ INNOWACJE

Drony w służbie transportu medycznego



fot. zasoby własne



Małgorzata Darowska

Rewolucja dzieje się na naszych oczach. Kiedy równo rok temu, w Baltimore, miała miejsce pierwsza w historii dostawa narządu do przeszczepu za pomocą drona, wielu przecierało oczy ze zdumienia. Nie mogliśmy wtedy jeszcze przypuszczać, jak szybko tego rodzaju usługi zyskają na wartości w świecie ogarniętym pandemią.

Transport medyczny wsparty przez bezzałogowe statki powietrzne okazuje się przede wszystkim niezbędnym elementem do uzyskania niezawodności systemu służb medycznych i ratowniczych. Drony oferują obiecujące możliwości ekspresowego dostarczania próbek analitycznych, zapasów krwi, urządzeń medycznych w celu ratowania życia i zdrowia. W czasie epidemii pozwalają na ograniczenie sytuacji narażających członków personelu na zakażenie.

W służbie społeczeństwu

Bezzałogowe statki powietrzne służą człowiekowi nie od dziś. Sprawnie monitorują emisję gazów i pyłów do atmosfery oraz analizują skład dymu z kominów – pozwalają w ten sposób na szybką reakcję straży miejskiej, tym samym korzystnie wpływając na nasze zdrowie. Mają również zastosowanie w geodezji i budownictwie.

Teraz nastał czas na powierzenie dronom miejsca w bezpo-

średniej walce o ludzkie życie. Bezzałogowce, które będą wykorzystywane do wrażliwego transportu medycznego muszą spełniać wysokie wymagania techniczne, zapewniające niezawodność operacji oraz latać automatycznie i poza zasięgiem wzroku operatora (BVLOS). Mimo kontroli statku przez operatora na ekranie, statek powietrzny musi wykazywać zdolność do szybkiego i samodzielnego dostrzegania i omijania przeszkód. Loty automatyczne w technologii BVLOS są zatem koniecznością.

Dronowy transport medyczny z zasługami w kraju

Kto dotrze pierwszy na miejsce wypadku: karetka czy bezzałogowiec stacjonujący na dachu szpitala? Odpowiedź wydaje się oczywista. Transport medyczny realizowany przy użyciu BSP stał się potrzebą chwili, w której żyjemy. Świat walczący z epidemią COVID-19 wręcz domaga się natychmiastowego wsparcia nowych technologii.

„ Za bezpieczeństwo lotu opowiada operator. Ale dopuszczenie operacji lotniczych, szczególnie tych powtarzalnych i skoordynowanych, to efekt testów, pracy i uzgodnień licznej grupy podmiotów i instytucji.

Zastosowanie ich w służbie medycznej i ratowniczej wynosi je na wyżyny możliwości tego sektora, dając równocześnie asumpt do tego, by jeszcze śmieiej zapraszać drony do pozostałych obszarów gospodarki, np. budownictwa. Zaawansowane operacje lotnicze wysokiego ryzyka muszą być wspierane przez odpowied-

nią infrastrukturę, umożliwiającą planowanie tras lotów, nadawanie im priorytetów oraz identyfikację statku powietrznego w przestrzeni, zwłaszcza gdy lot odbywa się nad terenem zurbanizowanym. Za bezpieczeństwo lotu opowiada operator. Ale dopuszczenie operacji lotniczych, szczególnie tych powtarzalnych i skoordynowanych, to efekt testów, pracy i uzgodnień licznej grupy podmiotów i instytucji.

Projekty, które dotyczą transportu medycznego monitorowane są m.in. przez Polską Agencję Żeglugi Powietrznej, Urząd Lotnictwa Cywilnego oraz Ministerstwo Infrastruktury – dzięki wieloletniemu zaangażowaniu tych instytucji w rozwój rynku bezzałogowego, polskie prawo lotnicze mogło zostać dostosowane do potrzeb realizacji operacji specjalnych. Rozporządzenie Ministra Infrastruktury z dnia 20 grudnia 2018 r. zawiera m.in. zasady dopuszczania i weryfikacji podmiotów, wykonujących operacje automatyczne i BVLOS. Co istotne, Polska jest jednym

z pierwszych krajów UE, które prawnie uregulowały kwestię BSP.

Według statystyk SAR – Morskiej Służby Poszukiwania i Ratownictwa – w samym 2019 roku przeprowadzono 327 akcji ratowniczych, w tym 134 były akcjami ratowania życia ludzkiego na morzu. Statystyki sopockiego Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego wskazują ponad 300 akcji w minionym roku, z których ponad 150 dotyczyło ratowania życia. Zdarzają się też fałszywe alarmy. Zdalne potwierdzenie konieczności reakcji na alarm, ale i samo ratowanie tonącego na polskich plażach wzięło na siebie z sukcesem pięć dronów krajowej produkcji, przystosowanych do prowadzenia takich operacji dla jednostek WOPR i SAR w pasie przybrzeżnym. Przewiduje się, że w nadchodzącym sezonie urlopowym Bałtyk może przeżyć prawdziwe obłędzenie. Koronawirus skutecznie zniechęci do dalekich podróży.

Tym większe wyzwanie stoi przed SAR i WOPR – incydentów ryzykownych, w tym tych związanych z bezpośrednim zagrożeniem życia, zdecydowanie przybędzie. Wsparciem dla jednostek są właśnie BSP. Dron pozwala szybko dotrzeć do poszkodowanego i przekazać mu środki ratunkowe, zwiększając szansę na jego przeżycie. Perspektywa „z powietrza” daje możliwość, aby sprawniej przeszukać teren i szybciej odnaleźć ofiarę. Dodatkowo bezzałogowce eliminują konieczność angażowania się ekip ratunkowych w sprawdzanie, czy dany alarm jest nie jest przypadkiem fałszywy.

Równie ciekawie przedstawiają się ustalenia pomiędzy Ministerstwami Zdrowia i Infrastruktury w sprawie pilotażu w Siedlcach, polegającego na dostarczaniu przez drony defibrylatorów na miejsce wypadku, zanim dotrze tam karetka. Cały proces odbywać się będzie w sposób zautomatyzowany, a w obsłudze BSP pomoże telefoniczna



Na sali operacyjnej liczy się każda sekunda, a szybkie wyniki badania laboratoryjnego lub dostarczenie krwi czy organu do przeszczepu stają się rozstrzygające dla ludzkiego istnienia.

aplikacja, w której posiadaniu będą zgłoszeni do projektu ratownicy medyczni.

Drony z poparciem społecznym

Przy tak wrażliwym temacie, jakim wydaje się być dronowy transport medyczny, warto zastanowić się nad reakcją społeczeństwa na tego typu wzmocnienie służb medycznych i ratowniczych. W drugiej połowie 2019 r. na terenach północnej Walii rozpoczęto badanie mające ocenić możliwość dostarczenia za pomocą BSP krwi i leków do wybranych pacjentów mieszkających na odosobnionych terenach wiejskich. Poza analizą bezpieczeństwa wykorzystania dronów do wskazanego celu, naukowcy skupili się na równoczesnym realizowaniu szeroko zakrojonej debaty publicznej ze społecznościami lokalnymi. Choć na ostateczne wyniki eksperymentu trzeba będzie jeszcze trochę poczekać, to już teraz

wiadomo, że dostęp do odległych placówek ochrony zdrowia przestanie być problemem, jeśli za transport medyczny odpowiadać będą właśnie drony.

Za wykorzystaniem bezzałogowców w tej branży przemawia kilka argumentów: ich szybkość, zupełnie nieosiągalna dla konwencjonalnych pojazdów medycznych, szczególnie w godzinach szczytu, uproszczona, liniowa trasa, jaką pokonać musi dron, a także kwestie ekonomiczne, które również działają na korzyść nowej technologii. Wydaje się, że eksploatacja bezzałogowca będzie porównywalna lub niższa niż wykorzystanie do tego samego zadania motocykla. Wyzwaniem okazują się z kolei zasięg i udźwig, ale i nad tymi kwestiami prowadzone są zaawansowane prace, pozwalające założyć możliwość wykorzystania transportu medycznego na ogólnokrajową skalę już niebawem.

W minionych dniach sukcesem okazał się pierwszy w Polsce lot drona, który przewiózł próbki do badań na obecność SARS-CoV-2 między szpitalem MSWiA przy ul. Wołoskiej a Centralnym Szpitalem Klinicznym UCK WUM przy ul. Banacha w Warszawie.

Wydaje się, że drony, jako podniebne taksówki staną się standardem. W Polsce wykonywane są testy dostawy, a w krajach takich jak USA czy Austria, transport za pomocą dronów odbywa się na regularnych trasach od kilkunastu miesięcy. Z dostawy przy użyciu BSP korzystają firmy zajmujące się transportem medykamentów, również Uber i Amazon rozważają jak najszybsze wdrożenie takiego rozwiązania. Wkrótce transportem krwi czy organów zajmować się będą na szeroką skalę drony, co znacznie skróci czas tak ważny w tych przypadkach. Na sali operacyjnej liczy się każda sekunda, a szybkie wyniki badania laboratoryjnego lub dostarczenie krwi czy organu do przeszczepu stają się rozstrzygające dla ludzkiego istnienia. Rozwój nowej technologii i odważne jej wykorzystanie w transporcie medycznym powodują, że dron nabywa unikalnej wartości. Staje się orężem w walce o życie. ■

Małgorzata Darowska

Pełnomocnik Ministra Infrastruktury ds. Bezzałogowych Statków Powietrznych i programu Centralnoeuropejskiego Demonstratora Dronów

■ FELIETON

Gry i zabawy dziecięce

Przemiana gier i zabaw dziecięcych na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat to godny temat niejednej monografii.



Bartosz Wieczorek

Każde pokolenie miało swoje ulubione gry i zabawy, ale zasadniczo nie było między nimi olbrzymiej różnicy. Nie chodzi tu tylko o wieczne żywe zabawy piłką, grę w chowanego czy w gumę, ale o pewien wspólny rys dla wszystkich zabaw, jakim była ich wspólnotowość, fizyczność i praktyczność. Cech tych próżno szukać w zabawkach nowoczesnych, nakierowanych na tak zwany rozwój różnych kompetencji dziecka, na czele z wyobraźnią i kreatywno-

ścią. O modzie na komputer czy tablet nie ma nawet co mówić, gdyż jest to stałe wyposażenie dziecięcego pokoju czy też stały towarzysz podróży dziecka. Nikogo nie dziwi dziś widok kilkorga dzieci siedzących w jednym pokoju i patrzących w swój ekran. Brak interakcji, brak ruchu, brak wszelkiej użyteczności praktycznej. Powrotu do dawnych zabaw nie ma. Chłopcy nie będą grać dziś w kapsle, a dziewczynki w gumę. Jakaś siła sprawiła, że wolą spędzać czas samemu bądź w małych grupach, niechętnie patrzą też na zabawy wymagające wysiłku fizycznego. Żegnajcie dawne gry i zabawy! ■

— REKLAMA —



**TRADYCYJNA CHAŁKA
DOSKONAŁA DO SEZONOWYCH
PRZETWORÓW Z OWOCÓW**

• www.putka.pl •



GOSPODARKA

Jak obecna sytuacja wpływa na cyfrową rewolucję w przedsiębiorstwach



Adam Trojańczyk

Wydaje się, że gospodarka cyfrowa wyjdzie z obecnej sytuacji jeszcze silniejsza. Świat się nie kończy, tylko nasze życie i firmy będą po prostu inne.

Transformacja cyfrowa naszego społeczeństwa, która miała odbyć się już wiele lat temu, raczej nie była zapowiadana rewolucją, a pełzającą powoli maszyną, której nie udało się dotrzeć do upragnionego celu. Brak specjalistów, pomysłów, procedur, pieniędzy i ciągle odkładanie konieczności przeprowadzania zmian na inne, lepsze czasy był mechanizmem destrukcyjnym dla wielu mikro i małych przedsiębiorców.

Przejsz do świata cyfrowego

Od pierwszego zaraportowanego przypadku wystąpienia COVID-19 do 2,1 miliona chorych ludzi na całym świecie minęło tylko 94 dni. 93 proc. państw zanotowało przypadki jego wystąpienia, przez co w szybkim tempie nastąpiła globalna izolacja społeczeństwa. Ta sprawiła, że wiele firm, aby utrzymać swoje przedsiębiorstwa na powierzchni musiało w ekspresowym tempie przejść transformację i nauczyć się żyć w nowym, nieznanym dla nich środowisku. To samo dotyczyło instytucji państwowych i spółek skarbu państwa.

Mimo wszystko sytuacja, w której się znaleźliśmy może zachęcić

nas do tego, by wprowadzić nasze firmy do świata cyfrowego. Ludzie zmuszeni do utrzymywania dystansu społecznego i pracy z domu sprawiają, że rola technologii staje się ważniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Jak pokazują dane, ZOOM – jedna z najpopularniejszych biznesowych aplikacji do prowadzenia wideo rozmów – odniosła wzrost z 10 milionów do 200 milionów uczestników spotkań telekonferencji w ciągu tylko 3 miesięcy. Nie jesteśmy w stanie być w bliskim fizycznym kontakcie, ale nadal musimy mieć możliwość, by komunikować się ze sobą zarówno prywatnie, jak i zawodowo. Mary Meeker, która każdego roku przygotowuje zestawienie „Internet Trends Report” wskazuje, że otaczający nas świat nigdy nie będzie już taki sam. Szok społeczny, a także jego nieustające nawroty powodują nieodwracalne zmiany. Wirusy i drobnoustroje już na zawsze zostaną uznane za okresowe czynniki katastroficzne, a tylko kreatywne myślenie, może pomóc nam uchronić się od katastrofy. Szybkie zmiany napędzają wzrost w obu kierunkach. Do łask wraca zrównoważone życie zawodowe, następuje przyspieszenie transformacji cyfrowej, rośnie liczba usług na

żądanie, zmienia się rola rządu w stabilizacji i stymulowaniu gospodarki (i miejsc pracy), która jest możliwa tylko dzięki nowoczesnym technologiom. A rok 2020 będzie rokiem zmian także dla opieki zdrowotnej.

Gospodarka cyfrowa

Badanie trendów DMEXCO wskazuje, że 70 proc. respondentów spodziewa się, iż pandemia koronawirusa przyspieszy tempo transformacji cyfrowej. Wiele firm, nie czekając na powrót do rzeczywistości szybko przystosowało się do obecnej rzeczywistości. Lokalne restauracje dostarczają jedzenie bezpośrednio do samochodów lub domów, sklepy sprzedają swoje produkty online, a te spożywcze otwierają się na domowe dostawy. Wielkie marki zwiększają wysiłki w sprzedaży online, podczas gdy te offline zanikają, instruktorzy prowadzą wirtualne zajęcia, uczniowie przechodzą na wirtualne nauczanie, rodziny korzystają z cyfrowych rozrywek, w firmach rosną nakłady na rozwiązania IT oparte o rozwiązania w chmurze, a medycyna przechodzi ogromne zmiany w kierunku telemedycyny. Startupy zaś tworzą innowacyjne rozwiązania mające się przy-

Wirusy i drobnoustroje już na zawsze zostaną uznane za okresowe czynniki katastroficzne, a tylko kreatywne myślenie może pomóc nam uchronić się od katastrofy.

czynić do walki z globalną epidemią.

Wyżej wymienione trendy jednoznacznie wskazują, że aby nasza firma mogła się dalej rozwijać należy postawić na rozwiązania takie jak: technologie chmurowe, które pozwalają pracować zespołom niemal z każdego miejsca; produkcję produktów pierwszej potrzeby (warto przypomnieć sobie, czym

jest hierarchia potrzeb, czyli tzw. piramida Masłowa); zwiększenie obecności w Internecie, mediach społecznościowych; e-commerce (Światowa Organizacja Handlu wspomina o 32 proc. spadku obrotów handlowych na świecie) oraz łatwość znalezienia produktów poszukiwanych przez konsumentów; skuteczne sposoby dystrybucji produktów wśród konsumentów w czasie ograniczonego kontaktu (Click-and-Collect – patrz nasz polski Collectomate); inwestycje w produkty zwiększające efektywność cyfrową przedsiębiorstw, w tym przemysł 4.0 i integracje najważniejszych danych w ramach kluczowych procesów; kontynuowanie i dalsze rozwijanie pracy zdalnej przez pracowników. Wydaje się, że gospodarka cyfrowa wyjdzie z obecnej sytuacji jeszcze silniejsza niż wcześniej. Jest to jedna z niewielu perspektyw, która daje nadzieję w obliczu wszystkich negatywnych wiadomości, które słyszeliśmy w ostatnim czasie. Świat się nie kończy, tylko nasze życie i firmy będą po prostu inne. ■

Adam Trojańczyk

Inżynier i humanista. Od 2006 nieprzerwanie związany branżą IT. Obecnie mentor i ekspert programów akceleracyjnych Startup Spark i S5 w Łódzkiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej. Jest członkiem rady naukowej Technikum Automatyki i Robotyki i rady programowej w Mikser Inteligentnych Technologii na Uniwersytecie Łódzkim.

SPORT

Aktywność fizyczna – wybór czy konieczność?



Paweł Raczyński

Nasz organizm „lepiej działa”, kiedy trenujemy, biegamy, spacerujemy. Stanem normalnym jest to, że jesteśmy aktywni fizycznie.

Ruch to zdrowie. W zdrowym ciele, zdrowych duch. Teorię znamy świetnie: jeżeli zapytamy na ulicy losowe osoby o to, czy warto spacerować, biegać i ogólnie – być aktywnymi fizycznie – gremialnie odpowiedzą, że oczywiście tak. Gdyby przycisnąć naszych interlokutorów i poprosić o wyjaśnienie dlaczego, to usłyszymy, że ćwiczenia są dobre dla serca, pomagają zwiększać odporność, przeciwdziałają tyfii itp. To wszystko prawda, natomiast warto pójść jeszcze dalej; albo odwrotnie – zrobić solidny krok w tył i cofnąć do początków współczesnego człowieka.

Bycie w ruchu

Homo sapiens zdominował planetę Ziemię. Złożyło się na to sporo ewolucyjnych okoliczności, takich jak skłonny do abstrakcyjnego myślenia, coraz większy mózg czy też przeciwstawny kciuk, pozwalający tworzyć pierwsze, prymitywne narzędzia. Adaptacyjne mechanizmy biologiczne odłożyły na razie na bok, gdyż meritum sprawy ma być przecież aktywność fizyczna. Czemu zatem ten przydług, wręcz antropologiczny wstęp? Ponieważ tym, co dodatkowo odróżnia nas od zwierząt, jest pionowa, dwunożna postawa ciała. Dzięki niej człowiek był w stanie przemierzać tysiące kilometrów w poszukiwaniu coraz lepszych warunków do życia i płodzenia potomstwa. Sednem sprawy jest fakt, iż nasza budowa jest stworzona do lokomocji. Przemieszczania się.

Bycia w ruchu. Tkanka łączna, szkielet, cały układ mięśniowo-stawowy, szlaki metaboliczne do pozyskiwania energii; wszystko jest zaprogramowane do tego, abyśmy mogli efektywnie chodzić.

Codziennie podnoszenie poziomu naszych zdolności motorycznych jest immanentną cechą człowieka, jako gatunku. Dlatego, pisząc lapidarnie, nasz organizm „lepiej działa”, kiedy trenujemy, biegamy, spacerujemy. Stanem normalnym jest to, że jesteśmy aktywni fizycznie. Bezruch i jego implikacje to największy zniwiarz współczesnego świata (a nie koronawirus, więc głowa do góry) i z naukowego punktu widzenia – patologia.

Zalety ruchu

Podążając dalej akademickim torem, aktywność pozwala zachować sprawność (oraz ją poprawić) wszystkich układów w ludzkim ciele:

- oddechowy zyskuje większą pojemność płuc, przekładając się wprost na odsuwanie w czasie zmęczenia podczas wysiłku i codziennych aktywności. Podbiegnięcie do autobusu nie powoduje zadyszki i późniejszego uspokajania oddechu przez cztery przystanki. Już nie wspominając o fackie, że zwyczajnie zdamy wsiąść zanim kierowca odjedzie, ale o tym niżej;
- mięśniowy cechuje się lepszym ukrwieniem i wzrostem siły. Pierwsze oznacza, iż lepiej przyswajamy tlen oraz składniki odżywcze, do których dodatkowo ma-



fot. Matthew Letune/unsplash

Codziennie podnoszenie poziomu naszych zdolności motorycznych jest cechą człowieka, jako gatunku. Nasz organizm „lepiej działa”, kiedy trenujemy, biegamy, spacerujemy.

my łatwiejszy dostęp. Drugi punkt ma żywotne znaczenie w kontekście przeciwdziałania urazom i większej sprawności na co dzień. Więcej siły, a tym samym lepsze unerwienie tkanek, to nie tylko duma z okazji otwarcia zapowietrzonego słoika, ale również większa szybkość i kontrola swojego ciała;

- sercowo-naczyniowy podziękuje nam niższymi: tętnem spoczynkowym oraz ciśnieniem tętniczym. Będziemy w stanie dłużej znosić wysi-

- łek, szybciej „wrócimy do siebie” po jego zaprzestaniu, zaś w pakiecie dostaniemy jeszcze trochę czerwonych krwinek;
- kostno-stawowy ucieszy się z faktu, iż nasze kości i więzadła będą bardziej odporne kolejno na złamania oraz zerwania;
- wydzielniczy odwdzięczy się lepszą pracą gruczołów, odsuwając ryzyko zaburzeń hormonalnych, kładących się cieniem na jakości życia setek tysięcy ludzi. Niezależnie czy chodzi o tarczycę, przysadkę czy też trzustkę – umiarkowana aktywność fizyczna przedłuży ich żywotność lub wspomogę proces leczenia;
- last but not least – nerwowy. Progres tutaj cechuje się zwiększonymi zdolnościami kognitywnymi, lepszą koordynacją ruchową, sprawniejszym kojarzeniem faktów, mniejszym ryzykiem zapadnięcia na chorobę neurologiczną, wyższą podażą serotoniny (neuroprzekaźnik odpowiedzialny za dobre samopoczucie), niższym poziomem stresu i wieloma innymi czynnikami, które zasadniczo wpływają na jakość życia. Nie tylko tu i teraz, ale może nawet przede wszystkim – na kilkanaście lat do przodu.

Zatem: aktywność fizyczna – wybór czy konieczność? Odpowiedź na to pytanie jest fundamentalna dla naszego zdrowia. Możemy nasz wolny czas spożytkować na siedzenie w fotelu i oglądanie telewizji, popijając przy tym ulubiony, niskoprocentowy eliksir. Możemy również zabrać rodzinę na długi spacer, ćwiczyć 20 minut dziennie w domu, często zmieniać pozycję, w której pracujemy. Dla siebie i swoich bliskich. Żadna katorga – ot, dokładanie kolejnej cegiełki w nieustającej ewolucji homo sapiens. ■

Paweł Raczyński

Trener sprawności fizycznej, w branży fitness & wellness od ponad 12 lat. Prowadzi zajęcia indywidualne oraz grupowe w swoim klubie Training Lab.

PRZYRODA

Lasy grądowe w Warszawie

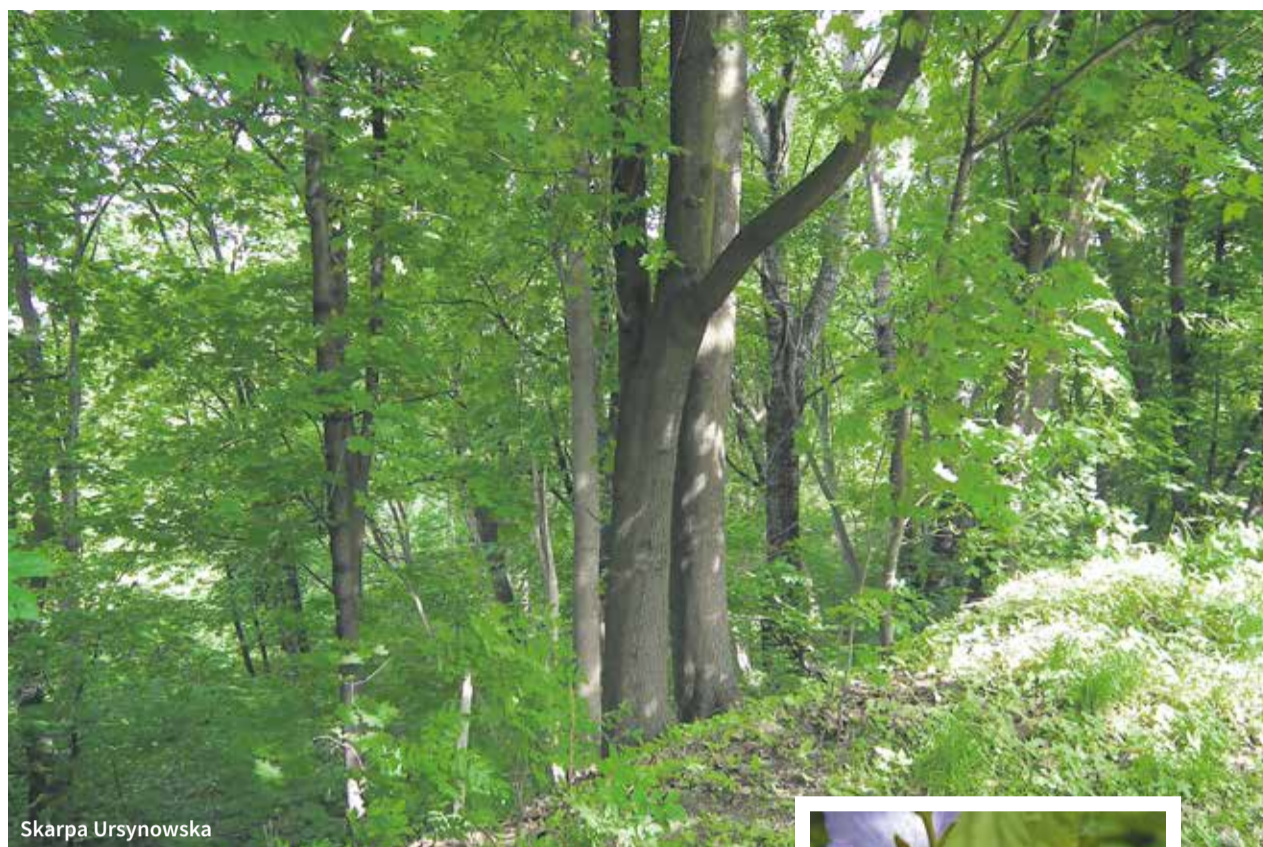
Już ponad 100 lat temu zauważono, że lasy grądowe mogą wyginać i podjęto pierwsze próby ich ochrony ze względu na wartości przyrodnicze i krajobrazowe.



Tekst i zdjęcia:
Przemysław Stolarz

Większość ludzi zapytana, jak wyobraża sobie stary las odpowie, że to las z potężnymi dębami, starymi lipami, dziuplastymi grabami i szeregiem innych gatunków drzew. To słuszne wyobrażenie, gdyż naturalna pokrywa roślinna sporej części terenów zajętych obecnie przez pola oraz miasta i wsie to lasy grądowe. Naukowcy z Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN stworzyli na podstawie badań botanicznych i glebowych mapę potencjalnej roślinności naturalnej Polski. Mapa ta jest dostępna w internecie i każdy może sprawdzić, jak

wanego do budowy umocnień drewniano-ziemnych, mostów, dróg przez tereny podmokłe, a później również budowli reprezentacyjnych, statków i mebli. Po setkach lat wycinki lasy pozostały głównie na suchych terenach piaszczystych, w zabagnionych dolinach rzek oraz na skarpach i zboczach trudnych do uprawy. Lasy naturalne zachowały się na terenach niezamieszkałych (np. na pograniczach) i na terenach łowieckich możnowładców. Już ponad 100 lat temu zauważono, że lasy grądowe mogą wyginać i podjęto pierwsze próby ich ochrony ze względu na wartości przyrodnicze i krajobrazowe. Kilkadziesiąt lat temu grądy uznano za zagrożone siedliska przyrodnicze wymagające ochrony na terenie całej Unii Europejskiej. Grądy to zbiorowiska



Skarpa Ursynowska

przyrody, albo też na bazie grądów stworzono niektóre parki.

Rezerваты w Warszawie

Najlepiej zachowane rozległe płaty grądu występują w rezerwacie Las Bielański. Rezerwat powstał formalnie w roku 1973, ale w praktyce las jest chroniony od XVII wieku, gdy stał się otuliną pustelni kamedułów na Bielanych ufundowanej przez króla Władysława IV w roku 1639. Las Bielański jest jednym z najdokładniej przebadanych warszawskich rezerwatów,

Utworzony przed wojną rezerwat był 3-krotnie większy, niż obecnie. Poza grądami chroni płaty dąbrowy świetlistej, czyli lasu parkowego, który wykształca się na terenach z dużą obsadą zwierzyny płowej (jak np. w dawnych rezerwach myśliwskich) albo w wyniku wypasu bydła (a rzadziej koni) w lasach. Duże ssaki roślinożerne zjadają część drzew, głównie młodych, na czym korzystają rośliny zielne, przez co dąbrowa świetlista od wiosny do końca lata wygląda jak kwitnąca łąka leśna. Zanik wolnego wypasu spowodował stopniowe zanikanie dąbrowy świetlistej w całym kraju.

Duże powierzchnie grądu, ale w wielu miejscach zniekształcone przez wprowadzenie sosny i odnowienia poprzedzone orką występują w Lesie Kabackim – największym warszawskim rezerwacie. Przykład tego rezerwatu podobnie jak Olszynki Grochowskiej pokazuje, że regeneracja pokrywy roślinnej do uzyskania składu typowego dla grądu może trwać nawet 50-100 lat (zależnie od stopnia wcześniejszej degradacji). Grądy występują też w rezerwacie Kawęczyn, rezerwacie Skarpa Ursynowska, w rezerwacie Natolin (pierwotnie park myśliwski z drugiej połowy XVII w.) i w parku Łazienki Królewskie, gdzie najstarsze drzewa mogą pamiętać ostatnich królów Polski, a jeszcze wcześniej teren był zwierzyniec myśliwskim książąt mazowieckich. Małe powierzchnie grądów można znaleźć na Młocinach, w Lesie Bródnowskim, na styku Woli Grzybowskiej i Sulejówka, na



od góry: dzwonek brzoskwiolistny, kokorycz, wawrzynek wilczełyko

Od lewej: kopytnik, zawilec żółty, śledziennica



przed wiekami mogła wyglądać okolica, w której mieszka (<https://www.igipz.pan.pl/Roslinnosc-potencjalna-zgik.html>).

Ocalić lasy

Grądy, czyli naturalne wielogatunkowe lasy liściaste były kiedyś bardzo pospolite, lecz ludzie już dawno odkryli, że gleby pod takimi lasami są najbardziej odpowiednie dla rolnictwa: gliniaste albo gliniasto-piaszczyste (w południowej części kraju również pylaste czyli lessowe), nie za mokre i nie za suche. Spowodowało to masowe wycinanie grądów pod uprawę, a jednocześnie wycinka dostarczała wartościowego drewna dębowego stoso-

roślinne najbogatsze w gatunki w naszej strefie klimatycznej. Większość kwiatów wiosennych jak zawilec, przyłaszczki, pierwiosnki, miodunki, kokorycze, złocie i fiołki to gatunki grądowe. Na jednym metrze kwadratowym takiego lasu może występować kilkadziesiąt gatunków roślin, a na hektarze kilkaset. Lasy w Warszawie zajmują obecnie ok 14 proc. powierzchni miasta. Z powodów historycznych zachowało się wiele płatów grądu zlokalizowanych głównie na wysoczyźnie po lewej stronie Wisły i na skarpie wiślanej jednak zajmują one tylko około 1 proc. powierzchni stolicy. Większość jest chroniona w rezerwach

a z racji położenia jednym z bardziej znanych i najczęściej odwiedzanych terenów zielonych stolicy. Położenie na krawędzi doliny Wisły warunkuje mozaikę mikrosiedlisk od boru i grądu wysokiego (suchego) nad skarpą, przez grąd typowy na skarpie do grądu niskiego i łąki w dolinie. Najstarszym rezerwatem w Warszawie jest Rezerwat im. Króla Jana III Sobieskiego, znany też jako Las Wawerski położony między Aninem, Wawrem i Zieloną. Ta część dóbr wilańskich została objęta ochroną po raz pierwszy w roku 1933 po kampanii społecznej i prasowej przeciw wycince i parcelacji lasów obecnego Anina i Wawra.

Groszówce oraz na południe od osiedla Stara Miłosna.

Lasy grądowe wyglądają najciekawiej wiosną (kwiecień-maj), gdy drzewa nie mają jeszcze liści, a w runie kwitną masowo dziesiątki ziół. W tym okresie można też zobaczyć, a łatwiej usłyszeć wiele gatunków ptaków związanych z lasami liściastymi. Kolejna barwna pora roku to „złota polska jesień” czyli od końca września do połowy listopada, gdy liście drzew stopniowo zmieniają kolory. ■

■ FELIETON

Koniec kolorowego snu?

Prawdopodobnie będziemy kiedyś patrzeć na współczesne czasy jak na czasy barbarzyńskie. Czasy, w których odwrotną stroną sielankowych obrazków reklam są góry śmieci.

Wielu z nas, próbując zrozumieć epidemię koronawirusa, zastanawia się, czy nie jest to zemsta Matki Natury na współczesnym człowieku za jego niszczącą i arogancką działalność na Ziemi. Niektórzy prorokują, że odtąd nic nie będzie już tak jak dawniej, że musimy się teraz zmienić, mniej eksploatować Błękitną Planetę (a może raczej prędzej zechcemy wrócić do „normalności”, a więc dawnych przyzwyczajzeń?). Inni cieszą się, że obecnie przyroda od nas odpoczywa, parki się zielenią, a w wielkich miastach zmniejszył się znacząco smog.

W tym roku prawdopodobnie po raz pierwszy zabraknie na Facebooku kolorowych zdjęć z zagranicznych wakacji. Jedni już płaczą nad niezrealizowanymi planami, inni – mniej uprzywilejowani – cieszą się, że nie będą musieli znowu zazdrościć. Niektórzy nie zdążyli jeszcze nigdzie polecieć... Może w te wakacje po raz pierwszy mieli pokazać dzieciom Rzym, Paryż, Berlin? Może cały rok zbierali na wycieczkę do Disneylandu? Ciężko jest zrezygnować z czegoś, co jest tak wyczekane, upragnione. A może ciężiej jest tym, co do luksusu się zdążyli przyzwyczaić? Prawdopodobnie będziemy kiedyś patrzeć na współczesne czasy jak na czasy barbarzyńskie. Czasy, w których odwrotną stroną sielankowych obrazków reklam są góry śmieci. Czasy, gdy pozyskiwanie żywności stało się zabawą dziecka wędrującego po hipermarkecie wśród tysięcy kolorowych opakowań. Nasza do-wolność już została ograniczona. Na naszych oczach dzieje się to, co jeszcze dziesięć lat temu wydawałoby się niewyobrażalne: segregujemy śmieci, wychodząc na zakupy pamiętamy o zabraniu płóciennej torby, oglądamy reklamy zachęcające nas do zmniejszenia konsumpcji. Kończy się nasz kolorowy sen o Zachodzie, chociaż dopiero niedawno zaczęliśmy go śnić: dzieci muszą zrezygnować z plastikowych rurek do soczków, dorosli z wygodnych plastikowych



dr Dagmara Jaszewska
Socjolog, kulturoznawca,
pracownik Uniwersytetu
Kardynała Stefana Wyszyńskiego
w Warszawie

„Na naszych oczach dzieje się to, co jeszcze dziesięć lat temu wydawałoby się niewyobrażalne: segregujemy śmieci, wychodząc na zakupy pamiętamy o zabraniu płóciennej torby, oglądamy reklamy zachęcające nas do zmniejszenia konsumpcji.

sztućców podczas grilla. Każą nam się ograniczać, podczas gdy my dopiero zakosztowaliśmy wygody i luksusu.

Dziś wielu młodych i świadomych ludzi używa wielorazowych dziecięcych pieluch, drewnianych zabawek zamiast plastikowych, używanych ubrań i rowerów zamiast aut, szarego mydła, a nawet szarego papieru toaletowego, w którym jest jednak najmniej chemikaliów. Krótko mówiąc, wracamy do szarości w codziennym życiu. Takiej jak w PRL-u!

Jednak Polki na emeryturze, aktywne uczestniczki Uniwersytetów III Wieku, niechętnie wspominają pod tym względem czasy swej młodości. Uważają je za szare i mroczne – prawdziwe życie mają natomiast teraz, od lat transformacji! Nie mogą się



fot. Frankie Cordoba / unsplash

nacieszyć kolorowymi półkami w sklepach, gotowymi daniami, ubraniami. Są oczywiście wyjątki, ale emerytki nie chcą już gotować pierogów (można kupić w sklepie), szyć ubrań, robić na drutach, wyszywać (można kupić w lumpeksie). Prędzej spotkamy trzydziestolatkę w modnej kawiarni dziergającą na szydelku szal, niż 60-latkę przy tej czynności.

Tymczasem szarość i hand-made jest dziś na topie. Wszystko się odwróciło. Kupowanie na wagę i owijanie w szary papier to już nie ubóstwo, ale ekologia i zdrowie (plastik szkodzi). W sklepach polujemy na wodę i mleko w szklanych butelkach – jakbyśmy mało się nadźwignęli w PRL-u. Do pracy bierzemy wielorazowe butelki na wodę (odważniejsi piją ją z kranu, jak

po wuefie w podstawówce). Do łask wróciły termosy z herbatą i kanapki pakowane w szary papier. Co bardziej uświadomione nastolatki fukają na nas w sklepach, że nie potrzebujemy tylu ubrań, a przemysł odzieżowy wykańcza środowisko. Latanie samolotami do ciepłych krajów staje się obciachem w czasach, w których mała Greta-ekołożka płynie z Europy do USA statkiem. Jak to się zmieniają kulturowe znaczenia! Żal tylko, że nie wykorzystaliśmy naszej szansy przeskoczenia kilku dekad rozwoju i bycia w awangardzie. Bo czyż jest coś bardziej ekologicznego niż szklane butelki z mlekiem, zabierane spod drzwi, myte i odstawiane z powrotem? Siatka-„francuzka”, z dziurami, ze sznurka, mieszcząca się w kieszeni, z której wystawały (nie-

opakowane w folię) por i torebka mąki? Okazuje się, że ekologiczna była nawet reglamentacja żywności. Wiem, wolność jest piękna, ograniczenia przykre – ale analizy mówią, że mięsa na kartki było idealnie tyle, by nie jeść go codziennie (zdrowo!), podobnie z tłuszczem czy słodzciami. Czy nie patrzymy z zazdrością na szczupłe sylwetki Polaków z lat 60, 70, 80? Ograniczenia okazują się być dla człowieka dobre...

Nie wiemy, jakie ograniczenia naszej wolności pojawią się w zachodniej cywilizacji po pandemii koronawirusa. Wydaje się, że jakieś będą – przynajmniej na początku. Może warto je wykorzystywać, abyśmy przestawili nasze myślenie i zechcieli zrezygnować z nadmiernej konsumpcji, która niszczy Ziemię? ■

■ ZDROWIE

Epidemia COVID-19 jest sytuacją nową, nieznaną i przez to trudną. Ze względu na wysokie ryzyko transmisji koronawirusa przychodnie stomatologiczne powinny być stworzyć dodatkowe, bezpieczne warunki higieniczne i sanitarne do prowadzenia leczenia.



fot. h-shaw / unsplash

Opieka stomatologiczna w czasie pandemii



Dr n.med. Irena Kozak
specjalista periodontolog

Z powodu ogłoszonego w Polsce stanu epidemii dnia 20 marca 2020 roku, w związku z zakażeniami wirusem SARS-CoV-2, Ministerstwo Zdrowia wydało zalecenie ograniczenia zakresu działalności gabinetów stomatologicznych. Według wytycznych Ministerstwa Zdrowia wstrzymano planowe leczenie stomatologiczne we wszystkich klinikach stomatologicznych w kraju. Wówczas działające przychodnie musiały ograniczyć przyjmowanie pacjentów tylko do procedur pilnych i ostrych.

Jakie objawy wymagają bezwzględnie wizyty u specjalisty?

1. Ból – intensywny i długotrwały ból zęba oraz błony śluzowej jamy ustnej powinien być zdiagnozowany, może sugerować o głębokiej próchnicy, zapaleniu miazgi lub tkanek okołowierzchołkowych oraz może być przyczyną zapalenia przyzębia.

2. Utrata wypełnienia – zalecane jest leczenie lub zabezpieczenie ubytku przynajmniej opatrunkiem tymczasowym.
3. Urazy twarzy i jamy ustnej wymagają pilnego badania klinicznego oraz radiologicznego. Po urazach mogą występować następujące powikłania: obrzęk, ból, zwiększona ruchomość zęba, obumarcie miazgi, uszkodzenie stawu skroniowo-żuchwowego, a nawet utrata zębów.
4. Rozpoznane nowotwory lub stany przednowotworowe wymagają leczenia oraz systematycznej kontroli. Wszystkie zmiany na błonie śluzowej jamy ustnej, które utrzymują się dłużej niż 2 tygodnie, powinny skłonić do wizyty stomatologicznej.
5. Stany zapalne i ropnie obciążone ryzykiem progresji choroby. Nielezione stany zapalne prowadzą do spadku odporności oraz do poważnych powikłań ogólnoustrojowych. Epidemia COVID-19 jest sytuacją nową, nieznaną i przez to trudną. Ze względu na wysokie ryzyko transmisji koronawirusa przychodnie stomatologiczne powinny być stworzyć dodatko-

we, bezpieczne warunki higieniczne i sanitarne do prowadzenia leczenia. Na początkowym etapie wystąpił problem z zakupem środków ochrony dla personelu oraz pacjentów. Większość gabinetów zawiesiło przyjęcia pacjentów lub je ograniczyło.

Obecnie blisko tysiąc gabinetów stomatologicznych, przygotowanych zgodnie z wytycznymi Ministerstwa Zdrowia, przyjmuje pacjentów w trybie pilnym. Na stronie Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego (PTS) powstała mapa działających klinik stomatologicznych (www.pts.net.pl/gabiny), które realizują świadczenia w ramach kontraktu z NFZ oraz prywatne praktyki.

Przed każdą wizytą w gabinecie stomatologicznym zalecany jest kontakt telefoniczny z lekarzem w celu ustalenia problemu zdrowotnego oraz oceny sytuacji, czy przyczyna zgłoszenia wymaga pilnej wizyty czy może być odroczone. W przypadkach prostych, nie wymagających pilnego leczenia, pomoc może być udzielona w formie rozmowy telefonicznej – teleporady. Jeśli będzie konieczność, pacjenci otrzymają zalecenie skorzystania z wizyty

w gabinecie stomatologicznym. Dla osób z podejrzeniem zakażenia SARS-CoV-2, w trakcie kwarantanny lub chorych na COVID-19 opieka stomatologiczna odbywa się w wyznaczonych do tego celu jednostkach.

Zalecenia higieniczne podczas epidemii SARS-CoV-2:

- Dbaj systematycznie o dokładną higienę jamy ustnej (przed zabiegami higienicznymi umyj ręce ciepłą wodą z mydłem).
 - Płucz jamę ustną 2 razy dziennie delikatnymi płukankami, które mają działanie przeciwwirusowe (płukanki na bazie olejków eterycznych lub z cyklodekstryną).
 - Szczoteczkę do zębów dezynfekuj wrzątkiem, płynem do płukania jamy ustnej lub 1 proc. roztworem wody utlenionej.
 - Wymieniaj szczoteczkę do zębów co 3 miesiące oraz bezwzględnie po każdej przebytej infekcji.
 - Zadbaj o aktywność fizyczną oraz prawidłowo zbilansowaną i urozmaiconą dietę.
- Przy podejrzeniu lub potwierdzeniu zakażenia SARS-CoV-2

zalecane jest płukanie jamy ustnej 2 razy dziennie przez około 60 sekund następującymi płukankami: 1 proc. roztwór wody utlenionej (1 łyżka stołowa na szklankę wody), chlorek cetylopirydyny 0,05-0,1 proc. lub płukanki, które zawierają olejki eteryczne, alkohol, cyklodekstrynę. Po umyciu zębów zanurz główkę szczoteczki w szklance napełnionej płynem do płukania jamy ustnej na 30 minut, następnie przepłucz wodą oraz pozostaw do wyschnięcia (więcej na <https://pts.net.pl/prawidlowe-nawyki-higieny-jamy-ustnej-podczas-epidemii-sars-cov-2/>). Na zakończenie zacytuję prof. dr hab. n. med. Marzenę Dominiak, prezydent Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego: „Droży Pacjenci, zwracamy się z ogromną prośbą o wyrozumiałość dla lekarzy dentystów. Wielu z nich, nawet na chwilę, nie zaprzestało pracy pomimo epidemii COVID-19. Zachęcamy do lokalizowania czynnych gabinetów na Mapie PTS oraz do codziennej, właściwej higieny jamy ustnej. W tym trudnym czasie nie zapominajmy, że zdrowie zaczyna się właśnie tam.” ■

WYCHOWANIE

Leo Messi i karty Panini, czyli dlaczego warto słuchać własnych dzieci



Yvette Żółtowska-Darska

Zaczęło się od kart Panini z piłkarzami. Mój syn, Milo, miał wtedy 7 lat, był w drugiej klasie podstawówki. Karty kupowaliśmy w kiosku lub empiku po 4,99 za paczkę. Były bajeranckie. Błyszczące. Z fajnymi facetami. Zupełny sztos. Szybko załapałam, że istnieją karty zwykłe (bazowe Team Mates) i mniej zwykłe (tak zwane złociaki jak Key Players czy Goal Machines).

Z Lewandowskim i Beckenbauerem do szkoły

Syn miał na te karty specjalne albumy i pędził do domu wkładać tam nowe zdobycze. Następnego dnia z albumem pod pachą wyruszał do szkoły. Może znacie ten widok? Chłopcy z albumami w rękach wparowują do szkoły i z miejsca informują się nawzajem: „Stary, trafiłem złociaka Ronaldo”, „Ale fart! Ja mam powtórkę Lewego i Legendę Beckenbauera”, „Mnie do całego składu brakuje Ramosa i Varane’a”. Nietrudno było się zorientować, że dwóch piłkarzy wyróżnia się z tłumu. Leo Messi i Cristiano Ronaldo. Milo uświadomił mnie, że pierwszy gra w Barcelonie, drugi w Realu. Że Messi to Argentyńczyk, Ronaldo – Portugalczyk. Potem mój syn dostał Playstation (komunia, a jakże!), pady i słynną Fifę. A że trenował piłkę w klubie, od tej pory mówił już tylko o tym.

Lubił sprawdzać, czy go słucham. Podawał nazwisko piłkarza, a ja mówiłam, z jakiego jest klubu. Albo odwrotnie. Potem odpytywał mnie ze składów, narodowości, pozycji, aż wreszcie pewnego dnia... „Mama, a ty wiesz, że Messi jest mały. Podobno nie mógł rosnąć. Słyszałaś o tym?” No nie, jakoś nie słyszałam. „A mogłabyś dowiedzieć się, co mu było?” – spytał. Jasne, synku. Przy najbliższej



fot. Shutterstock

okazji kupiłam „dorosłą” książkę o Messim (innych nie było) i siadłam do lektury.

Opowiesz mi dalej o Messim?

Mieliśmy z Milem swój rytuał – każdego wieczora czytałam mu na dobranoc. Byliśmy na etapie „Mikołajka”, ale tamtego dnia zamiast czytać Gościnnego, postanowiłam streścić młodemu, czego dowiedziałam się o Messim. Wiedziałam już, dlaczego nie rósł (deficyt hormonu wzrostu). Wiedziałam, że musiał brać lekarstwo (sztuczny hormon somatotropina, codziennie przed snem zastrzyk

w oba uda) i że było ono bardzo drogie (2 tysiące dolarów za miesięczną kurację przez 5 lat). Bez niego Leo nie osiągnąłby nawet 1,5 metra wzrostu. Rodziny Messich (czworo dzieci) nie było na stać na kurację, ale płaciła za nią firma, w której pracował pan Messi. Niestety w Argentynie wybuchł kryzys i finansowanie wstrzymano. Tata błagał argentyńskie kluby piłkarskie, żeby pomogły, ale wszyscy odmówili. Tyle zmieściłam w pierwszej opowieści. Następnego dnia Milo domagał się dalszego ciągu, więc wieczorem wróciłam do przerwanej wątku. Opowiedziałam, że pan

Messi nagrał video z trikami Leo, a kasetą trafiła do Europy. Do Barcelony! Że tam zachwycili się chłopcem i zaprosili na testy. Że pierwszego dnia testów rówieśnicy Leo szepotali po kątach o „karle z Argentyny”. Wreszcie, że dyrektorzy klubu bali się podjąć decyzję – sprowadzić Leo do Hiszpanii, opłacić kurację i czekać, aż podrośnie.

Trzeciego wieczora kontynuowałam temat. Milo dowiedział się, że po 2 tygodniach testów decyzji nadal nie było. Że załamany pan Messi wykrzyczał szefom Barcelony podczas obiadu: „Odpowiedzcie nam coś wreszcie.

Jeśli nie, będę szukał dalej”. I że wtedy jeden z dyrektorów wziął ze stołu papierową serwetkę, na której napisał krótkie, ale jakże ważne zdanie: „Ja, Carles Rexach, zobowiązuję się przyjąć Leo Messiego mimo sprzeciwów w klubie” (serwetkę do dziś można oglądać w muzeum Barcy). W tym momencie spojrzałam na Mila. Byłam pewna, że śpi, więc przerwałam opowieść. I wtedy mój syn na pół przytomnym głosem, z zamkniętymi oczami wymamrotał: „Mamo... Tak fajnie opowiadasz o Messim... Napisz o nim książkę”. Chwilę potem spał w najlepsze.

Rozmawiamy z naszymi dziećmi

Równo rok później, w maju 2014 roku, ukazała się moja pierwsza książka – MESSI. Mały chłopiec, który został wielkim piłkarzem (a ja miałam za sobą mailową korespondencję z tatą Leo Messiego, który przeczytał to, co napisałam!). Po dwóch tygodniach była na 1. miejscu Top Empiku dla dzieci. Po roku czytelnicy wybrali ją Dziecięcą Książką 2014. W Polsce do dziś sprzedana się w ponad 100 tysiącach egzemplarzy. Ukazała się też w 9 językach obcych, ostatnio w Turcji. Ja zaś zostawiłam korporacyjną karierę i zaczęłam pisać kolejne książki.

Morał? Warto słuchać własnych dzieci. Oczywiście, nie spodziewam się, że po rozmowie z nimi napiszecie od razu książkę, choć w sumie kto wie? Namawiam tylko do bycia ciekawym idoli Waszych dzieci. Messi, Lewandowski, Friz, Blówek, Weronika Sowa, Roksana Węgiel czy Ariana Grande... – dajmy dzieciakom szansę, by pogadały z nami o czymś innym niż szkoła, której w dobie edu-kwarantanny i tak mamy po dziurki w nosie. ■

Yvette Żółtowska-Darska

Autorka bestsellerowej serii biografii dla dzieci o piłkarzach (m.in. „Messi”, „Ronaldo”, „Ibra”, „Lewy”). Wcześniej, przez 20 lat pracowała w międzynarodowych korporacjach, w tym przez 7 lat była dyrektorem i redaktorem naczelną TVN Style.

■ WARSZAWA

Madonny warszawskie z Pragi

Kapliczki z figurą Matki Bożej są szczególnym fenomenem miejskim, świadczącym o pamięci i tożsamości Warszawy, o jej oddolnym, spontanicznym życiu.

Przestrzeń wielkiego miasta jest dziś mocno ujednolicona i pozbawiona, poza budynkami kościołów, elementów sakralnych. Wyjątkiem są kapliczki maryjne rozsiane po powierzchni całej Warszawy, także pośród wielkich blokowisk. To fenomen nieznan w tej skali innym polskim miastom. Najwięcej kapliczek znajduje się na warszawskiej Pradze. W większości są dziełem wspólnym mieszkańców danego domu. W tym roku nie będą gromadziły modlących się grup z uwagi na obostrzenia epidemiczne. A maj to miesiąc szczególnie w życiu kapliczek, to miesiąc tradycyjnie w Kościele katolickim poświęcony Matce Bożej.

Zwykle kapliczki stawiano na rogatkach miasta, przy rozstajach dróg czy skrzyżowaniach. W mieście stawiano je z reguły na podwórkach, miały zapewniać pomysłność mieszkańcom. W Warszawie najstarsza jest figura Matki Bożej Pasawskiej z XVIII w. Stoi na skwerze Hoovera przy Krakowskim Przedmieściu. Figurki Matki Bożej stoją też w dzielnicach, których byśmy o to nie podejrzewali jak: Ursynów, Bródno, Białołęka.

Sąsiedzki kościół

Poza zakupioną od rzemieślnika figurą całość kapliczki była z reguły wynikiem wspólnej pracy i ustaleń mieszkańców danego budynku. Kapliczki stały na osobnym podwyższeniu w podwórzach typu „studnia”, w bramach, na klatce schodowej lub we wnęce w ścianie budynku. Istnienie dużej liczby kapliczek na Pradze wynika z faktu, iż zachowała się tu stara zabudowa oraz ciągłość mieszkańców, dla których kapliczka jest szczególnym miejscem, o który się troszcza. W przypadku wyprowadzenia się starych lokatorów i remontu kamienicy kapliczka z reguły nie jest odtwarzana i bez-

powrotnie znika, choć są chlubne wyjątki, kiedy taka kapliczka staje się wartością dodaną.

Większość praskich kapliczek pochodzi z okresu II wojny światowej lub z czasu tuż po zakończeniu wojny. Każda z nich to jakaś historia osoby czy rodziny, za którą kryje się jakaś unikalna opowieść. Z reguły powstawały w podziękowaniu za uratowanie życia, za to, że dom nie został zbombardowany. Najwięcej kapliczek powstało w latach 1943–1944. To był już czwarty i piąty rok okupa-

Figurka przy ul. Ząbkowskiej 11 ▶

Kapliczka przy ul. Ząbkowskiej 13 ▼



fol. archiwum

cji. Ludzie byli zmęczeni wojną i wszechobecnym strachem. Powstawanie kapliczek było odpowiedzią mieszkańców na ograniczony dostęp do kościołów i posługi religijnej, kapliczki sta-

wały się więc miejscem pociechy religijnej, szukania nadziei w czasach straszliwej wojny i terroru panującego w Warszawie. Były miejscem tworzenia się religijnej, ale i sąsiedzkiej wspólnoty, która

pomagała łatwiej znieść trudny czas. Wokół kapliczek mieszkańcy mogli się modlić bez ryzyka złapania, wywózki, a nawet rozstrzelania na miejscu. „Godzina policyjna zaczynała się mniej więcej od godz. 19 lub 20. Bramy domów zostały zamknięte, nikt nie wychodził na ulicę pod groźbą śmierci. I kiedy tylko nastąpiła niezwykła cisza, zza zamkniętych bram i podwórek rozlegały się śpiewy modlitewne mieszkańców poszczególnych domów. To z bram domów przy Stalowej, Ząbkowskiej, Wileńskiej płynęły słowa „Słuchaj Jezu jak Cię błaga lud...” – wspomina Paweł Elstein w książce „Moja Praga”.

Kapliczka ze składek

Kapliczki to bardzo proste konstrukcje, kilka desek oraz szyba, a potrafiły przetrwać od wojny do dziś dzięki niewidzialnej opiece mieszkańców, którzy je naprawiają, odmalowują, upiększają czy rozbudowują. W wielu kapliczkach znajdują się karteczki ze świadectwami życia różnych osób, podziękowania, medaliki. Przy niektórych kapliczkach panuje zwyczaj, by w rocznicę śmierci lub w imieniny kogoś z mieszkańców zapalać znicze i pomodlić się o spokój jego duszy.

Praskie kapliczki znajdziemy przy: Bródnowskiej 20, Brzeskiej 13, Stalowej 34, Szwedzkiej 35, Targowej 39 i 64, Wileńskiej 43, Nieporęckiej 10, Okrzei 30, Ząbkowskiej 16, Równiej 10, Strzeleckiej 42, Szwedzkiej 11, Środkowej 12. W sumie jest ich ponad 130. Każda z kapliczek ma swoją niezwykłą historię. Na Brzeskiej 17a w odwecie za strzały z dachu domu Niemcy spędzili mieszkańców budynku na podwórko i chcieli ich rozstrzelać. Okazało się, iż jedną z lokatorek była Niemka, która wyjaśniła całą sprawę, co uratowało mieszkańców. W podziękowanie za to wydarzenie mieszkańcy postawili figurkę Matki Boskiej. Nie sposób przeoczyć na Pradze potężnej figury Praskiej Madonny, stojącej na rozdrożu ulic: Radzymińskiej, Kawęczyńskiej, Korsaka i Ząbkowskiej. Figura powstała na zamówienie i ze składek pracowników firmy Labor. Figura powstała w 1908 r. i wyszła z ręki artysty rzeźbiarza Feliksa Giecwicza. Miała chronić firmę, produkującą naczynia emaliowane przed upadkiem. ■

Michał Staniewicki

Więcej o kapliczkach przeczytać można w albumie Magdaleny Stopy i Anny Beaty Bohdziewicz „Kapliczki warszawskie”.

fol. archiwum



■ KORZENIE WARSZAWY

200 lat Traktu Brzeskiego

W 1820 roku, wokół Warszawy zaczęto budować sieć nowoczesnych traktów bitych. Do tego czasu wszystkie główne drogi na obszarze Polski posiadały nawierzchnie gruntowe.



Adam Ciećwierz
poczta-adam@o2.pl

Te przez większą część roku były zabłocone i bardzo nierówne, co znacznie utrudniało komunikację, a co za tym idzie, ograniczały rozwój gospodarczy zarówno miasta stołecznego jak i całego kraju. Członkowie Rady, mającej zarządzać powstałym w 1815 roku Królestwem Kongresowym, uznali zmianę tego stanu rzeczy, za jeden z priorytetów swojej działalności. Za pierwsze do realizacji uznano budowę traktów Brzeskiego, Petersburskiego, Krakowskiego i Poznańskiego. Do tego celu powołano Dyрекcję Generalną Dróg i Mostów, na której szefa, 10 maja 1819 roku, mianowano inżyniera Franciszka Christianiego.

Pierwsza szosa Królestwa Polskiego

Od czasów średniowiecznych z Pragi na wschód prowadziła droga wiodąca wzdłuż krawędzi nadzalewowej doliny Wisły, przecinająca Kamionek i Grochów. W przybliżeniu pokrywała się ona z dzisiejszą ulicą Grochowska. Biegła ona zgodnie z ukształtowaniem terenu, przy Zakolu Wawerskim łukiem skręcała w prawo i przecinając Kaczy Dół (Międzyzlesie), kierowała się na Gliniankę, Siennicę i dalej w stronę Ukrainy. Nosiła ona miano Traktu Wołowego. Droga ta rozwidlała się na Grochowie i Goćławku. W pierwszym przypadku odnoga wiodła do nieistniejącego dziś Kalenia, w drugim zaś prowadziła przez Okuniew do książęcego Liwa. Z czasem zaczęła być używana w podróżach do sejmowego Grodna, stając się jedną z najważniejszych podwarszawskich arterii. Zwano ją Traktem Grodzieńskim oraz Gościńcem Litewskim. Jej pozostałościami są ulice Korkowa w Wawrze oraz Wspólna w Wesolej. Ówczesna droga z Pragi do Mińska, zwana Gościńcem Mińskim, która przecinała Starą Miłosną, od-



1. Rogatka Grochowska. 1915 rok
2. Obelisk upamiętniający budowę Traktu przy ul. Grochowskiej. Lata 30. XX w.

3. Fragment Traktu Brzeskiego, ul. Czecha w Aninie. 1941 rok
4. Trakt Brzeski i karczma w Starej Miłosni. Lata 50. XX w.



fot. archiwum

chodziła od Traktu Wołowego w Kaczym Dole, mając nieco inny od dzisiejszego przebieg. Po części była groblą przecinającą bagna i omijającą wydmy, biegnąc nieco bardziej na południe. Przejazdy z Pragi do Mińska, odbywały się przeważnie z jej pominięciem, na rzecz wspomnianego traktu, biegnącego przez dzisiejszy Marysin Wawerski. Na początku XIX wieku, nowa, twarda i prosta szosa na Mińsk, nałożona po części na stary gościniec grochowski, zastąpiła pod Warszawą obydwie prastare drogi gruntowe. Szlak drogi z Warszawy do Brześcia, o długości 198 km zaprojektowano przez Mińsk, Siedlce i Białą Podlaską. Nawierzchnia tłuczniowa na podkładzie kamiennym, wzorowana była na francuskim systemie „Tragueta”. Podkład z kamienia łamanego, o wymiarach 12x16 cm, na którym rozścielano i ubijano warstwę tłuczni, układany był ręcznie na warstwie piasku

lub żwiru. Łączna grubość nawierzchni wynosiła 27 cm, szerokość — 5,40 m. Wzdłuż traktu wybudowano dróżnicówki dla konduktorów i strażników oraz Zajazdy Pocztove i nowe karczmy. Trasa podzielona była na stacje długości 2–3 mil polskich, zamknięte rogatkami, które otwierano po zapłaceniu myta. Wszystkie urządzenia drogowe jak rogatki, słupki i budki pomalowane były barwami narodowymi. Oficjalne otwarcie odcinka z Pragi do Starej Miłosny miało miejsce w roku 1821. Cały Trakt Brzeski, jako pierwszą bitą drogę w Królestwie Polskim, oddano do użytku w roku 1823. W tym samym czasie powstały na Pradze, zaprojektowane przez Jakuba Kubickiego, rogatki



grochowskie. Dla uczczenia zakończenia prac, nieopodal rogatek Warszawy i Terespola, 21 maja 1825 roku odsłonięto dwa żelwne obeliski.

Dziedzictwo Traktu Brzeskiego

Większość z wybudowanych wówczas traktów, po wielu przebudowach istnieje do dziś. W XIX i XX wieku ich przyległości stały się centrami rozwoju przedmieść Warszawy, z czasem kolejno do niej wcielanych. W 1831 roku Trakt Brzeski stał się jedną z aren bitew Powstania Listopadowego, a w 1866 roku umiejscowiono w jego pobliżu dworzec Kolei Terespolskiej. Jego budowa przyczyniła się waleńnie do wzrostu znaczenia



Grochowa i powstania Wawra oraz komunikacji podmiejskiej, co dało impuls do rozwoju wielu okolicznych osadom. W latach 1901-1952 poboczem traktu przebiegała linia wąskotorowej Kolei Jabłonowskiej, a w 1925 roku dzięki niemu, Grochów i Goćławek zyskały linię tramwajową. W latach 30., trakt uzyskał nową, bazaltową nawierzchnię, a w latach 60., został przebudowany do kształtu jaki znamy dziś. W obszarze Warszawy, przy ulicach Grochowskiej, Płowieckiej i Trakt Brzeski, zachowały się do dziś budynki rogatek grochowskich i karczm w Wawrze i Starej Miłosni oraz obelisk pamiątkowy. 16 kwietnia 2020 roku minęło 200 lat od dnia rozstrzygnięcia przetargu, który zapoczątkował jego trwającą do dziś historię. ■

REFLEKSJE

Wykorzystać nudę

Darem jest fakt, że pustka człowieka niepokoi, budzi niesmak, przymusza do działania. Nuda jest bólem duszy, to przejaw pozytywnej bierności, oczyszczającego otwarcia na świat

Głębokie znudzenie, ciągnące się jak milcząca mgła (...), pokrywa rzeczy i pokrywa ludzi, i wraz z nimi pokrywa nas samych – sprawiając, że wszystko to po równi staje się nam osobliwie obojętne. Każdy z nas doświadczył chyba kiedyś opisanego powyżej przez jednego ze współczesnych filozofów stanu nudy. W czasie kwarantanny ten stan mógł być dla niektórych szczególnie bolesny.

Nuda, czyli co...

Niełatwo podać definicję nudy. Poeta Josif Brodski, autor „Pochwały nudy”, stwierdza, że jest ona znana pod różnymi pseudonimami: „uprzykrzenie, zniechęcenie, znużenie, chandra, melancholia, marazm, apatia, obojętność, letarg, ospałość, stupor”. Dodaje też, że jest to zjawisko złożone, wynikające przede wszystkim z szeroko rozumianej powtarzalności, która występuje w życiu. Powtarzalność jest więc matką nudy. Drugim źródłem nudy jest brak. To brak wrażeń, emocji i przeżyć, z powodu którego rodzi się niemiły stan braku zajęcia, wrażenie, że jest się niepotrzebnym w danym miejscu i czasie. Taka nuda jest znakiem pustki wewnętrznej, osobowego rozproszenia, nieskrystalizowanej tożsamości.

Ucieczka od nudy w różne przypadkowe zajęcia jest z góry skazana na niepowodzenie, gdyż podjęte sztucznie zajęcia nie napełniają człowieka wewnątrz, lecz tylko zagłuszają pustkę. Działają jak narkotyk, który oszłamia, ale niczego nie zmienia. Przeciwnie, utrwala stan pustki i czyni człowieka coraz mniej zdolnym do zmiany na lepsze. Taką ucieczką może być silna chęć do podróżowania, opanowująca większość współczesnych ludzi. Pod deklarowaną

publicznie chęcią zwiedzenia świata kryje się zwykła potrzeba zmiany miejsca na jakiegokolwiek inne. Obrazem takiej ucieczki jest też typowy strach pracobolików przed czasem wolnym czy „nuda” niedzieli, którą trzeba szybko zapełnić zakupami i rozrywkami.

Nuda metafizyczna może ogarniać nie tylko jednostki, ale i całe grupy społeczne. W XVIII w. istniało coś, co można określić kulturą nudy. Istnieje też nuda rosyjska przedstawiona przez Mikołaja Gogola czy Antoniego Czechowa. W XX w. pojęcie nudy wchodzi ponadto w obszar skomercjalizowanej kultury przesytu i wiąże się z najniebezpieczniejszymi plagami, które trapią człowieka

Znakomite opisy nudy panującej w świecie zdominowanym przez pracę ukazują utwory Stanisława Ignacego Witkiewicza. Chodzi tu zarówno o nudę, którą wywołuje u człowieka widok społeczeństwa oddającego się całkowicie „szalonej” pracy, jak i o nudę członka tego społeczeństwa, który musi jej doświadczać w chwilach pozbawionych pracy. Nuda jest u niego funkcją ustroju społecznego.

Nuda panuje w państwie Sajatana Tempe w „Pożegnaniu jesieni”, a miasto jest tylko „piekłem bezprzykładnej pracy”. Jest w nim ogłupiająca i wyczerpująca praca fizyczna, niepozostawiająca miejsca na twórcze wysiłki człowieka. Po upadku sztuki i filozofii oraz po obumarciu religii jednostka żyje w pustce, oderwana od wielkich problemów świata. Zmechanizowana przez pracę ludzkość żyje w świecie względności, pluralizmu i „szmiry” określanej sztuką. Atanazy Bazakba1, główny bohater powieści, w ponurych barwach widzi przyszłość: „Wynik tego wszystkiego będzie okropny: koniec

Ucieczka od nudy w różne przypadkowe zajęcia jest z góry skazana na niepowodzenie, gdyż podjęte sztucznie zajęcia nie napełniają człowieka wewnątrz, lecz tylko zagłuszają pustkę. Działają jak narkotyk, który oszłamia, ale niczego nie zmienia.

najwyższych dotychczasowych wartości, szary mrok ogólnego dobrobytu”.

Jak wykorzystać nudę?

Tymczasem nudę trzeba wykorzystać. Jak to uczynić? Sięgnijmy do początków naszej kultury, do Grecji. Otóż zdziwienie może budzić fakt, że Grecy nie znali słowa „nuda” w naszym rozumieniu, to znaczy jako przykrego stanu wynikającego z braku zajęcia lub wrażeń.

U Arystotelesa pojawia się jedynie przymiotnik „nudny”. Filozof używa tego terminu w kontekście omawiania żartobliwości ludzkiej, którą uważa za cechę pozytywną. Dwoma skrajnościami wobec bycia żartobliwym jest bycie wulgarnym albo nudnym. Człowiek nudny to czło-

wiek ubogi emocjonalnie, bo niepotrafiący żartować. U Platona słowo „nudny” oznacza z kolei człowieka pozbawionego inwencji. W ogromnym uproszczeniu można powiedzieć, że Grecy z wyższych warstw społecznych wystrzegali się nudy. Każdą wolną chwilę starali się wypełnić rozmową, badaniami naukowymi, rozmyślaniami, podziwianiem przyrody i pracą twórczą. To właśnie w czasie wolnym od pracy i zajęć codziennych narodziła się w Grecji filozofia.

Z chrześcijańskiego punktu widzenia, jak twierdzi teolog Jacek Salij, nuda jest darem Bożym, którego nie można zmarnować. Darem jest fakt, że pustka człowieka niepokoi, budzi niesmak, przymusza do działania. Nuda jest bólem duszy, to przejaw po-

zytywnej bierności, oczyszczającego otwarcia na świat. Tak jak ból ciała alarmuje organizm o stanie zagrożenia, tak nuda jest jednym z dzwonek alarmujących o zagrożeniu duszy. To chyba dobrze, że nuda – trwały składnik życia każdego z nas, ma swoje pozytywne strony. Jest sygnałem do pogłębienia życia duchowego, dobrym momentem do rozpoczęcia nowego, bardziej refleksyjnego i świadomego życia, sygnałem do – opisywanego przez wielu myślicieli – przebudzenia. Nuda bowiem szuka miłości – jak zauważa Antoni Kępiński. Napisał on: „Nigdy człowiek nie nudzi się z osobą, którą kocha, gdyż miłość przyciąga, a nuda odpycha”. ■

Jakub Łomża

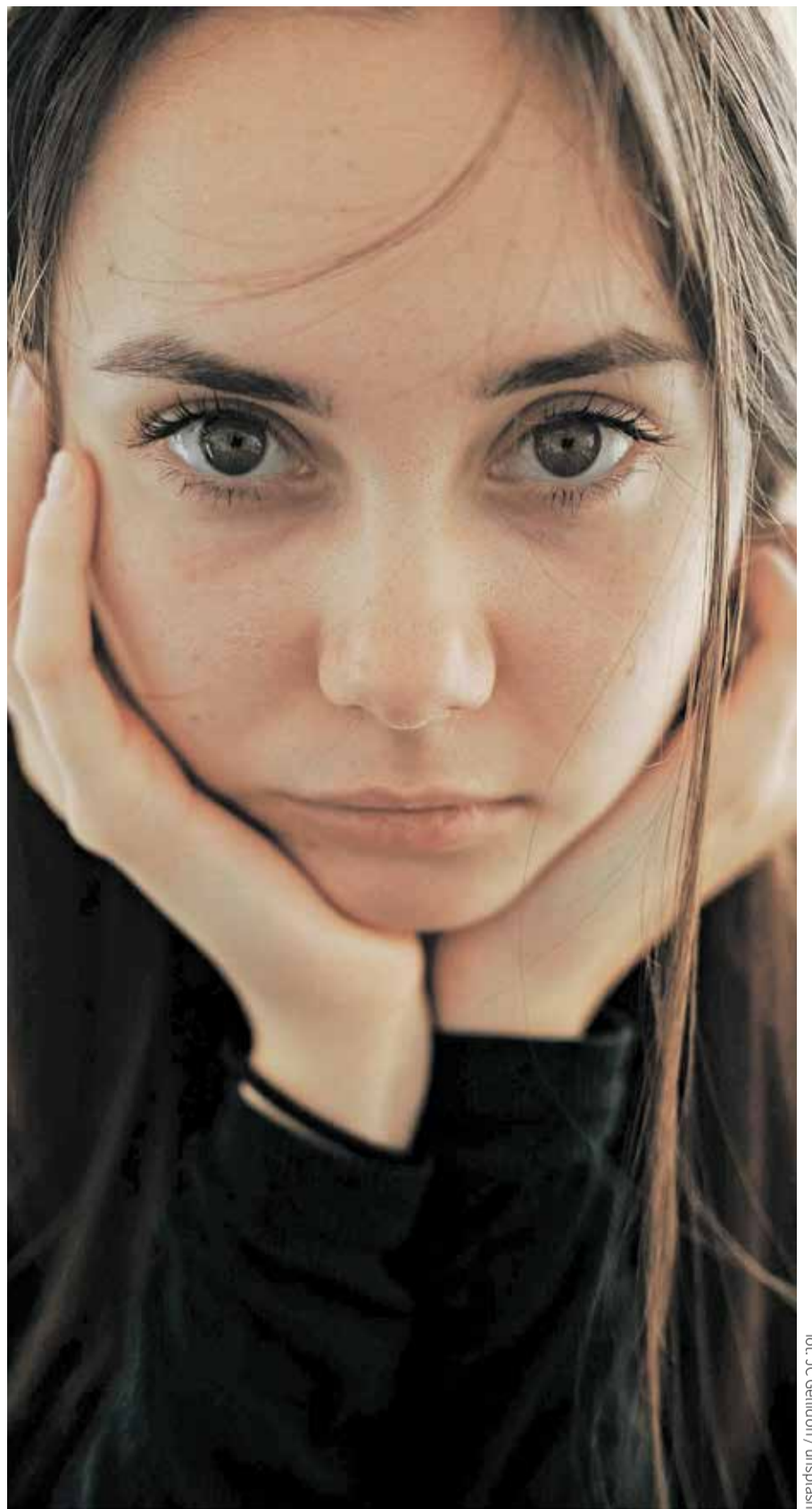


foto: JC Cellidon / unsplash

RELIGIA

Boże Ciało i czas święty

W tym roku raczej nie zobaczymy tradycyjnych procesji związanych ze świętem Bożego Ciała. Wirus wdarł się także w rzeczywistość religijną i mocno ją zmienił.

Boże Ciało, formalnie w Kościele katolickim nazywa się Uroczystością Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa. Po raz pierwszy obchodzone było w 1246 r., a w 1317 r. ustanowione zostało jako święto na terenie całego Kościoła zachodniego. Wewnętrzny przejaw Boże Ciało kojarzy nam się z procesją do czterech ołtarzy, na czele której niesiona jest monstrancja z Najświętszym Sakramentem. Na zakończenie procesji udzielane jest uroczyste błogosławieństwo. Jan Paweł II w Liście do biskupa Liège z okazji 750-lecia Bożego Ciała wskazał, iż istotą święta jest dziękczynienia za obecność Chrystusa pośród swego ludu oraz ukazanie, iż misterium eucharystyczne jest „źródłem, ośrodkiem i szczytem wszystkich dzieł duchowych i charytatywnych Kościoła”. Historycznie rzecz biorąc powstanie święta było odpowiedzią na herezje związane z zakwestionowaniem realnej obecności Chrystusa w Eucharystii.

Dwa czasy

Zewnętrzna rzeczywistość niewiele nam jednak powie o istocie tego religijnego święta, które związane jest z Eucharystią sprawowaną codziennie w kościołach. Kluczowe w tym wszystkim jest rozumienie czasu. Badacze religii wyróżniają dwa typy czasu, mianowicie czas święty i świecki. Różnią się one od siebie strukturalnie. Czas święty jest podług swej natury odwracalny, jest ponownym uobecnieniem pierwotnego wydarzenia. Czas świecki to zwyczajne trwanie w czasie, w którym dokonują się zdarzenia nie związane z kultem religijnym. Religijne uczestniczenie w święcie polega na wyjściu ze zwykłego czasu i odnalezieniu się w wiecznym święcie. Zdaniem Mircei Eliadego: „Każde święto religijne, wszelki czas liturgiczny oznacza ponowne uobecnienie wydarzenia sakralnego pochodzącego z przeszłości mitycznej, z czasu „u początku””. Człowiek religijny żyje więc w dwóch ro-



Każde święto religijne, wszelki czas liturgiczny oznacza ponowne uobecnienie wydarzenia sakralnego pochodzącego z przeszłości.



dzajach czasu, człowiek zaś niereligijny tylko w czasie świeckim. Człowiek religijny zna, w przeciwieństwie do człowieka niereligijnego, uświęcone okresy czasu, nie mające nic wspólnego z resztą jego przebiegu. Nie oznacza to jednak, iż człowiek niereligijny nie pragnie wydostać się swego czasu, swej historii i choć przez chwilę pobyc w innej rzeczywistości. Ponownie Eliade zauważa: „Niezależnie od tego, czy człowiek współczesny „zabija” czas czytając kryminał, czy też wchodzi w obce mu pod względem czasu uniwersum jakiejś powieści, lektura pozwala mu wyjść z czasu, w którym żyje jako indywidualum i włączyć się w inne rytmy – pozwala mu żyć w innej „historii””. Główne cechy czasu religijnego to periodyczność, powtórzenie i wieczna terażniejszość. Cechy te realizują się w liturgii chrześcijańskiej, w której rytmy uobecniają na nowo czas, który był świadkiem męki, śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Zdarzenia te nie są więc wspomniane, ale dokonują się w momencie liturgii na oczach wiernych. Chrześcijanin staje się współczesnym świadkiem wydarzeń z udziałem Chrystusa.

Tajemnicze przejście

Trzeba zauważyć, iż chrześcijaństwo, akcentując historyczność Chrystusa zmieniło pojęcie cza-

su liturgicznego. Liturgia chrześcijańska odprawia się w czasie uświęconym przez Wcielenie Słowa Bożego. W religiach przedchrześcijańskich obecny był czas mityczny, którego nie można odnaleźć w historycznej przeszłości. Judaizm wniósł zasadniczą nowość wychodząc poza ideę czasu cyklicznego. W judaizmie bowiem czas ma początek i koniec. Chrześcijaństwo posuwa się jeszcze dalej w waloryzacji czasu, gdyż Syn Boży przyjął historycznie uwarunkowane istnienie ludzkie w konkretnym czasie, gdy namiestnikiem Judei był Poncjusz Piłat. Zatem rok liturgiczny powtarza te same wydarzenia z życia Chrystusa, jako takie, które rozegrały się w historii. Dodatkowo liturgia chrześcijańska danej niedzieli łączy się z liturgią niedzieli poprzedniej i następnej. Czas święty, w którym dokonuje się przeistoczenie chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa łączy się z czasem liturgii poprzedniej i następnej, a można go nawet uważać za kontynuację wszystkich liturgii, które odbywały się od chwili ustanowienia Eucharystii. Liturgia chrześcijańska, będąc zespołem symbolicznych czynności, których niewidzialnym sprawcą jest Chrystus, działający mocą swego Ducha, ale i człowiek żyjący we wspólnocie Kościoła zawiera moment przej-



Procesja w święto Bożego Ciała na XVI-wiecznej iluminacji Mistrza Jakuba IV Szkockiego

ścia od zewnętrznych znaków do niewidzialnej rzeczywistości Bożego i ludzkiego działania. Zawiera więc przejście od czasu świeckiego do świętego. Liturgia dokonuje się w czasie, choć jej treścią jest ponadczasowe misterium Chrystusa. Te krótkie uwagi pozwalają stwierdzić, iż w czasie mszy świętej wierni stają się współczesnymi świadkami Chrystusa

i całej historii zbawienia, która ukryta jest w gestach i słowach. Chrześcijanie tworzą podczas każdej mszy wspólnotę, wzorowaną na wspólnocie dwunastu Apostołów, w czasie ostatniej wieczerzy, wśród której obecny jest Chrystus. To jest też jeden z istotnych wymiarów święta Bożego Ciała. ■

■ WYWIAD

Mentalność mistrza szansą na sukces

► Dokończenie ze str. 1

chciałem trenować jakąś dyscyplinę sportu. Nie był to na pewno w tamtym okresie plan na życie. Jedyne młodzieńcza pasja. Na początku uprawiałem różne konkurencje. Później zająłem się pchnięciem kuli i dobrze mi to wychodziło.

Kto w Panu odkrył potencjał kulomioty?

Tak jakoś samo wyszło. Już w szkole podstawowej próbowałem pchać kulę. Do bardziej wyczynowego sportu wciągnął mnie Zbigniew Majewski, mój brat stryjeczny. Był on lekkoatletą i jest trenerem. U niego zaczynałem sportową przygodę. Moja rodzina nie miała tradycji sportowych. Rodzice zachęcali mnie do sportu, chociaż na wsi, w której się urodziłem, nie było szczególnych warunków do jego uprawiania.

Był Pan, więc takim samorodkiem sportowym?

Nie przesadzajmy, jakoś to wyszło i już tak zostało.

Musiał Pan jednak mieć już na tym poziomie szczęście do dobrych trenerów, którzy umieli mądrze pokierować Pana karierą. Przecież do wyników trzeba wytrwale i roztropnie dochodzić.

Tak, to prawda. Jeżeli chodzi o trenerów to miałem rzeczywiście wielkiego farta. Od początku trafiłem na bardzo dobrego trenera Witolda Suskiego, u niego zaczynałem i trenowałem parę lat. Potem przenieśliśmy się do Henryka Olszewskiego i właściwie trenowałem z nim do końca mojej kariery.

Jaką motywację do uprawiania sportu miały sukcesy naszych znakomitych kulomiotów, mistrza olimpijskiego Władysława Komara, czy też Edwarda

Sarula. Czy to dopingowało Pana do uprawiania tej dyscypliny i wyzwało nadzieję i determinację, że może Pan osiągać podobne wyniki?

Bardziej to, że my jako Polska mieliśmy w tej dyscyplinie bogate tradycje. To nie było tak, że ja byłem jeden. Byłem kolejną osobą w tej sztafecie dobrych kulomiotów. Mieliśmy też w przeszłości świetnych trenerów. I wszystko to przyczyniło się, że mnie, a potem moim następcom było trochę łatwiej. Do sportu trzeba się nadawać. Mieć taki zespół cech charakteru, które pomagają w uprawianiu danej dyscypliny. Ja te cechy miałem, wykształciłem albo dopracowałem. Człowiek jak kocha to, co robi, to się do wszystkiego przyzwyczai. Podobnie było ze mną. Do całego trybu treningowego naprawdę można się przyzwyczaić. Przez 20 lat swojej zawodniczej kariery

starałem się zachować samodyscyplinę w podejściu do treningu. Narzucić taki reżim, który dawał nadzieję na sukcesy.

Pana osiągnięcia sportowe są imponujące (dwukrotne mistrzostwo olimpijskie – Pekin 2008, Londyn 2012, mistrzostwo świata, Europy, nie licząc wielu tytułów krajowych). Jest Pan jednym z najbardziej utytułowanych zawodników w historii polskiej lekkoatletyki. Od czego już na najwyższym poziomie sportowej rywalizacji zależy wynik? Czy tylko decyduje o tym sportowa forma, czy też jeszcze coś więcej? Co sprawia, że wychodzi dwunastu wspaniałych gladiatorów, z których każdy pragnie zostać mistrzem olimpijskim, a dwukrotnie wygrywa Tomasz Majewski?

Decyduje przede wszystkim głowa, determinacja i umiejętność poradzania sobie w danej chwili ze stresem. Rzeczywiście, wszyscy są świetnie przygotowani, ale tylko jeden może wygrać. Ja byłem najlepiej przygotowany i najlepiej to wszystko mentalnie zniosłem. Wtedy akurat pchałem najdalej. Na tym ta zabawa polega i mi udało się to jakoś wszystko dwa razy złożyć – co zapewniło olimpijski sukces.

Czy to „coś” trzeba w sobie wypracować, czy też decydują o tym pewne cechy wrodzone? Mówi się, że „każdy może zostać mistrzem”. Tak do końca jednak nie jest, nie każdy. Z pewnymi cechami trzeba się urodzić. Część można wypracować, do części trzeba dojrzeć. I tak zazwyczaj bywa. Jednak trzeba mieć to „coś” w sobie, co pozwala być mistrzem.

Jechał Pan na swoją pierwszą olimpiadę do Pekinu, raczej nie w roli faworyta. Czy czuł Pan, że może być dobrze na tych igrzyskach? W którym momencie uświadomił sobie Pan, że można ten konkurs olimpijski wygrać?

Jechałem na igrzyska powalczyć o brąz. Taki był mój cel. Przed olimpiadą na ostatnim obozie przygotowawczym w Japonii czułem, że z moją formą jest coraz lepiej. Rosła z treningu na trening. Kiedy już na olimpiadzie łatwym pchnięciem i w dodatku

z rekordem życiowym wygrałem eliminacje do finału olimpijskiego, to czułem i uwierzyłem, że w nim mogę wywalczyć nawet olimpijskie złoto. I tak też się stało.

Przypomnijmy, więc czytelnikom ten olimpijski konkurs. Czy pierwszy Pana rzut w olimpijskim finale na odległość 20,80 m ustawił jakoś ten konkurs?

To nie było takie dalekie pchnięcie, które by dawało poczucie wygranej. Rywale pchali dalej. Byłem przekonany, że zapewnią mi ono udział w finałowej ósemce. W miarę konkursu stawałem się coraz pewniejszy siebie. Czulem, że nikt z rywali tego dnia mnie nie pokona. Wynikiem 21,51 m ustanowiłem swój rekord życiowy i zostałem mistrzem olimpijskim.

Czy łatwiej wygrać z pozycji faworyta? Jedzie Pan na swoją drugą olimpiadę do Londynu. Oczekiwania są ogromne. Niebywała presja kibiców. Broni Pan tytułu mistrza olimpijskiego. W międzyczasie, w pamiętnym konkursie w Berlinie w 2009 roku, zostaje Pan wicemistrzem świata. Wiadomo, że na olimpiadzie, będzie miał Pan za przeciwników znakomitych miotaczy amerykańskich i świetnego młodego Niemca Storla. Czy Pan się tego wszystkiego nie bał, czy Pana to nie przytłoczyło i nie paraliżowało?

Do Londynu jechałem bardzo pewny siebie. Nie ukrywałem, że jadę po złoto.

To był Pan wielkim fajterem.

Na możliwe scenariusze w finale byłem bardzo dobrze przygotowany. Wierzyłem, że to wszystko znowu się bardzo dobrze ułoży. Wiedziałem, że jestem mocny i dużo spokojniej udało mi się ten tytuł wywalczyć. Po konkursie jeden z komentatorów w radosnym uniesieniu wykrzykiwał: „W niebotycznym konkursie T. Majewski pokonał mistrza świata D. Storla o 3 cm i został pierwszym od 1956 roku kulomiotem, który obronił olimpijskie złoto”.

W mistrzostwach świata w Berlinie dochodzi do rywalizacji dwóch największych kulomiotów globu – Tadeusza



Tomasz Majewski, Barcelona, 2010 r.

Majewskiego i Amerykanina Christiana Contwella. Starcie to zostaje uznane przez fachowców za pojedynek roku w lekkiej atletyce. Fenomenalny poziom rywalizacji. Prowadził Pan niemal przez cały czas trwania konkursu z bardzo wysrubowanym rezultatem. W jednej z ostatnich swoich prób Amerykanin Pana przerzuca. Osiągnął wtedy wspaniały rezultat ponad 22 m. Jak się czuje zawodnik, któremu w ostatnim momencie uciekło zwycięstwo i zdobycie tytułu mistrza świata?

Na pewno jest wtedy trudno, ale to jest normalne. My sportowcy jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Tak często wyglądają konkursy, że sytuacja zmienia się z próby na próbę. Cała sztuka polega na tym, żeby wtedy właśnie zdobyć się na mobilizację i skutecznie odpowiedzieć. To, wtedy mi się nie udało. W życiu sportowca muszą być wkalkulowane takie porażki. Taki jest sport. Trzeba być zawsze czujnym i potrafić odpowiednio reagować.

W wielu dyscyplinach jest czas na pewną taktykę. Można sobie, na przykład, podnieść poprzeczkę lub tyczkę, szachując tym przeciwnika i wybijając go z rytmu. Na czym polega taktyka pchnięcia kulą?

Taktyka jest bardzo prosta. Trzeba pchać kulę od początku jak najdalej i już w pierwszym pchnięciu ustawić sobie rywali. Jest sześć prób. Wszyscy chcą pchać bardzo daleko i raz się uda, a raz nie. Mi się najczęściej udawało.

Wielokrotnie występował Pan w prestiżowych zawodach z pozycji faworyta – szczególnie po zdobyciu olimpijskich i mistrzowskich tytułów. Czy bycie faworytem paraliżuje Pana?

Mnie raczej nie. Chyba bardziej dodawało mi pewności siebie. Konkurencja za moich czasów była zawsze bardzo mocna. Tylko pełna mobilizacja, umiejętność skupienia i koncentracji dawały szansę na zwycięstwo.

Pamiętam mistrzostwa świata w Korei Południowej w 2011 roku. Po tym występie Pan oznajmił „Przepraszam kibiców i trenera. Byłem tu przygotowany na tytuł mistrza świata. Spaprałem zawody. To moja stypa, a nie moje urodziny.”

To jedna z moich największych porażek w karierze. Rzeczywiście byłem znakomicie przygotowany i myślałem, że wygram

W życiu sportowca muszą być wkalkulowane także porażki. Taki jest sport. Trzeba być zawsze czujnym i potrafić odpowiednio reagować.

dość łatwo to mistrzostwo. Skończyło się dopiero na 9. miejscu. Nawet najwięksi faworyci czasem zawodzą. Ja wtedy bardzo zawiodłem. Na szczęście z tej porażki wyciągnąłem wnioski i rok później wygrałem olimpiadę w Londynie.

Co wtedy nie zafunkcjonowało? Za dużo pewności siebie, a za mało zwykłego pchania.

Czyli tak jak w życiu. Pewność siebie może czasem zgubić.

W tamtym momencie zdecydowanie mnie zgubiła.

My widzimy zawodników najczęściej na stadionie. Ich zmagania przy aplauzie kibiców i w świetle reflektorów. Aby dojść do wyników trzeba trenować w niebywałym reżimie treningowym. Jak to wyglądało u Pana?

Sport wyczynowy jest bardzo trudnym zajęciem. Trzeba całe życie jemu podporządkować. Niby dwa treningi dziennie, ale praktycznie cały dzień jest temu poświęcony. Wszystko jest podporządkowane treningowi. Jeśli się chce odnosić sukcesy to trzeba się temu poddać i w tym kieracie zasuwać.

Czy przypadkiem nie za wcześnie zakończył Pan karierę?

Nie, nie. Karierę sportową miałem bardzo długą. 20 lat pchać kulą i to z dobrymi rezultatami to w mojej konkurencji zdarza się bardzo rzadko.

Lubi Pan stawiać przed sobą wysokie wymagania i ambitne cele. Po zakończeniu kariery zamierzał Pan nadal pracować w sporcie. Nie tylko się udało,



ale jest Pan dzisiaj wiceprezesem PZLA i to w czasie nowego polskiego Wunderteamu.

Mamy wielu doskonałych liczących się na świecie i w Europie lekkoatletów. Zespołowo jesteśmy najlepszą drużyną na kontynencie. Zdobywamy medale na najbardziej prestiżowych imprezach. Jest to z pewnością również wielkie wyzwanie zwłaszcza, że przed nami olimpiada w Tokio. To na pewno mobilizuje, ale i wyznacza cele.

Czy ma Pan świadomość, że znalazł się Pan, jako jeden z prezesów PZLA, w tym miejscu, że trzeba – mówiąc metaforycznie zdobyć niejako trzecie mistrzostwo olimpijskie, dokonać niebywałej pracy organizacyjnej, aby ten utalentowany Wunderteam utrzymać, stworzyć im doskonale warunki do treningu i doprowadzić do sukcesu?

Mam taką świadomość. Staramy się to robić już od paru lat. Wiadomo, że obecna sytuacja na świecie jest bardzo trudnym i wielkim wezwaniem dla wszystkich, również i dla nas. Ale bardzo przyjemnie pracuję się, kiedy są sukcesy. Kiedy naprawdę jest się czym cieszyć i co oglądać w wykonaniu naszych zawodników.

Z racji pandemii igrzyska olimpijskie w Tokio zostały przełożone. Jak się czują teraz zawodnicy, którzy budowali formę na ściśle określony czas? Wszystko było misternie zaplanowane i raptem tak ogromna niespodziewana zmiana warunkowana sytuacją epidemiologiczną na świecie. W dodatku nie wiadomo, jak długo taki czas potrwa.

Nie jest to komfortowa sytuacja. Jest ona trudna dla wszystkich zawodników. Każdy jest w innym punkcie swojej kariery. Każdy inaczej do olimpiady się przygotowywał. Dla części sportowców może to już być stracona szansa, bo rok w sporcie to wbrew pozorom bardzo dużo. Dla innych będzie to z kolei szansa, która pozwoli kroczyć do przodu. Ja nigdy nie byłem w takiej sytuacji.

Ile mamy szans medalowych na igrzyskach w Tokio?

Niestety w przyszłym roku mniej niż byłoby to w obecnym. Ta ekipa, która miała przywieźć medale z Tokio to raczej już doświadczeni zawodnicy, dla których niestety ucieka czas i szansa na odniesienie sukcesów. Z każdym rokiem ci zawodnicy będą mieli trudniej. Ponadto, także świat sportu nie wie na czym stoi. Sytuacja jest bardzo dynamiczna, a jednocześnie niekomfortowa.

Czy w lekkiej atletyce mamy obecne „złote pokolenie” czy raczej jest to wypadkowa wielu czynników, a być może sportowe szczęście, gdzie decydują milimetry, centymetry i setne części sekundy?

To jest wypadkowa wielu czynników. Kilka świetnych sportowców utalentowanych roczników, dobra praca związku, klubów, świetnych trenerów i tego, że warunki treningowe z każdym rokiem są lepsze. Ponadto, dobrobyt społeczeństwa

powoduje, że również w wymiarze fizycznym i sportowym lepiej się rozwijamy. Więcej też jest stadionów. Odrobina szczęścia w sporcie, tak jak w życiu, też jest ważna.

Co obecnie w czasie pandemii robi prezes i mistrz olimpijski?

Podobnie jak większość siedzę w domu. Mam dwóch wspaniałych synów, Mikołaja i Antoniego. Niebawem będziemy mieli trzeciego syna. Opieka nad nimi zajmuje mi najwięcej czasu. Bardzo dużo również czytam, ogólnie prozę – fantastykę i reportaże.

Czy wiąże Pan nadzieję z ewentualnymi sportowymi sukcesami swoich synów?

To pokaże czas. Za wcześniej jeszcze o tym mówić. Nie jestem tym rodzicem, który będzie swoje dzieci na siłę ciągnął do uprawiania sportu.

Panie Tomku w imieniu czytelników „Po Godzinach” życzę, aby przynajmniej jeden z Pana synów wyrósł na mistrza olimpijskiego, nawet jeśli to będzie skok o tyczce, chociaż w nim mógłby mieć jeszcze przez wiele lat fenomenalnego konkurenta Greka Armanda Duplantisa. Dziękuję za rozmowę pozdrawiam całą Pańską rodzinę. Życzę sukcesu polskiemu lekkoatletycznemu Wunderteamowi. ■

Ksiądz dr Andrzej Chibowski,
były duszpasterz środowisk twórczych i sportu
w Diecezji Warszawsko-Praskiej.



HISTORIA

W rocznicę zakończenia II wojny światowej

Dziś możemy powiedzieć o sobie: tyle w naszych sercach i w umyśle miejsca na Polskę i Polaków, ile znalazło się w niej właściwej pamięci o czynach i życiu Witolda Pileckiego.



Jan Żaryn

Polskie doświadczenie historyczne związane z przebiegiem II wojny światowej jest niezwykle. Ta największa, jak do tej pory ludzka krzywda, którą człowiek zgotował człowiekowi, wyrosła na konkretnej glebie. Były nimi dwa totalitarne reżymy, sowiecki i niemiecki, które wprowadziły do krwioobrotu instytucji państwowych cele polityczne oparte na pogańskich ideologiach, odrzucających Boga. Niemieccy naziści postawili w Jego miejsce swoją-germańską rasę, której dobro miało pozwolić na akty ludobójcze i inne formy represji zastosowanych wobec narodów „gorszych”. sowiecki system uznał awangardę klasy robotniczej za kompetentną, by po trupach jej przeciwników wprowadzać no-

wy ład społeczno-gospodarczy na świecie.

Zbrodnicze systemy

Obydwa reżymy, choć zwalczające się, uznały 23 sierpnia 1939 r., iż likwidacja porządku dotychczasowego opartego na korzeniach chrześcijańskich Europy jest wystarczającym argumentem do zawarcia czasowego sojuszu. W jego wyniku do maja 1945 r. (czyli zakończenia II wojny w Europie) zginęło co najmniej 50 milionów ludzi, w tym zapewne ponad 6 mln obywateli II RP (w tym ok. 3 miliony Polaków, a około 3 mln Żydów i Polaków pochodzenia żydowskiego). Dotknęły nas wszystkie możliwe kategorie represji ze strony zarówno Niemców, jak i Sowietów, a także – dodatkowo – również pogańskich nacjonalistów ukraińskich.



▲ Żołnierze niemieccy zrywający godło państwowe, wrzesień 1939

Rozstrzelanie Polaków po rozpoczęciu niemieckiej okupacji Bydgoszczy 9 września 1939 r. ▶



Kolumny piechoty sowieckiej wkraczające do Polski, 17 września 1939 r.

Dotknęły nas wszystkie możliwe kategorie represji ze strony zarówno Niemców, jak i Sowietów, a także – dodatkowo – również pogańskich nacjonalistów ukraińskich.

Wśród tych kategorii warto wymienić: zbrodnie ludobójstwa dokonane na ludności żydowskiej i polskiej, w tym ostatnim przypadku ze szczególnym uwzględnieniem polskich elit (w tym duchowieństwa katolickiego); śmierć w obozach koncentracyjnych i obozach pracy; wywózki na Sybir i inne formy wypędzenia z miejsca zamieszkania (permanentne w latach 1939 – 1945). A także egzekucje bez sądu, łapanie i wywózki na przymusowe roboty; całkowity zabór mienia dokonany tak

przez Niemców, Sowieców, jak i powojennych komunistów. Do tego zniszczenie polskiego dorobku kulturowego, w tym Warszawy po upadku Powstania Warszawskiego (w ok. 85 proc. zabudowy). W końcu przymusowe pozostanie setek tysięcy Polaków poza granicami kraju po 1945 r., z racji przejęcia ziem polskich i instytucji państwa przez jednego z agresorów w 1939 r., czyli przez komunistów sowieckich i ich polskich podwykonawców. Mimo tak licznych szykan naród się nie poddawał się, a jednym z wielu symboli – dziś powszechnie szanowanym – oporu wobec nieludzkich praktyk niemiecko-sowieckich stał się rotmistrz Witold Pilecki. W maju mija kolejna rocznica jego śmierci.

Bohaterski rotmistrz

Rotmistrz Witold Pilecki (1901-1948) to dziś jedna z najbardziej rozpoznawalnych postaci z historii najnowszej Polski. Niemał każdy uczeń zapytany o 10 sławnych Polaków zapewne i jego wliczy do tego zaszczytnego grona, obok św. Jana Pawła II czy Józefa Piłsudskiego, a może także Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Romana Dmowskiego, czy z dalszej historii króla Jana III Sobieskiego oraz pierwszego władcę rodzącej się chrześcijańskiej Polski – Mieszka I. Biografią Pileckiego można by obdarować kilka życiorysów encyklopedycznych. Jeszcze jako młodzieniec, harcerz, zdążył wychować się w tym polskim, czynnym patriotyzmie, dzięki



Rotmistrz
Witold Pilecki
1901-1948

Witold Pilecki
w trakcie
procesu ▶



Jako ochotnik dostał się do piekła na ziemi, zainstalowanego przez Niemców nieopodal Oświęcimia, by tam – w KL Auschwitz – założyć konspiracyjną strukturę Polskiego Państwa Podziemnego. Następnie po brawurowej ucieczce w 1943 r. przekazał wolnemu światu informację na temat barbarzyństwa, do którego dzień w dzień dopuszczali się Niemcy, okupujący polskie ziemie.



Zdjęcia zrobione po aresztowaniu w warszawskim więzieniu mokotowskim (1947)

któremu włączył się w nurt dziejów, walcząc o Niepodległą na Kresach Wschodnich. W latach pokoju i wzrastającego dobrobytu Polski Odrodzonej, jako przykładowy ziemianin założył rodzinę, gospodarował i działał społecznie wraz z małżonką, nauczycielką ludową, na rzecz małej ojczyzny. Patriotyzm czynny nabrał zatem nowego

wymiaru. A gdy się wydawało, że przyszłość jest już rozpisaną, błoga i pełna radości, przyszedł wrzesień 1939 rok. I znów, rotmistrz włączył się w walkę o Niepodległą, i to w sposób niezwykły. Jako ochotnik dostał się do piekła na ziemi, zainstalowanego przez Niemców nieopodal Oświęcimia, by tam – w KL Auschwitz – założyć konspiracyjną strukturę Polskiego Państwa Podziemnego. Następnie po brawurowej ucieczce w 1943 r. przekazał wolnemu światu informację na temat barbarzyństwa, do którego dzień w dzień dopuszczali się Niemcy, okupujący polskie ziemie. Jego raporty, w tym dotyczące Zagłady Żydów – dziś stanowią dowód w walce o prawdę na temat polskich, heroicznych, starań na rzecz uratowania ludności żydowskiej. Walczył w Powstaniu Warszawskim, a następnie po wyjściu z niewoli i zakończeniu wojny, dotarł do generała Władysława Andersa, by oddać się pod rozkazy dowódcy, dającego nadzieję na wywalczenie przez Polskę prawdziwej Polski, suwerennej

i demokratycznej. Idąc konspiracyjną „drogą Konrada” (Jerzego Kozarzewskiego, oficera NSZ) przez Czechy do Polski, założył w Kraju organizację konspiracyjną, kadrową, składającą się z wybitnych jednostek polskiej inteligencji. Podobnie, jak wielu przed nim i po nim, został aresztowany przez UB i torturowany w areszcie na warszawskim Mokotowie, a następnie skazany na karę śmierci. Ratując swych podkomendnych brał „winę” na siebie, prosząc o łaskę dla pozostałych. Za nim zaś wstawiała się rodzina, przypominając komunistom, iż w celi śmierci znajduje się bohater Polski, a nie zdrajca.

Obchodzimy właśnie kolejną rocznicę wykonania wyroku śmierci na rotmistrzu Witoldzie Pileckim, dnia 25 maja 1948 r. Skrycie zabity, skrycie pogrzebany zapewne na warszawskiej „Łączce”, miał zginąć na zawsze, także zagubić się wraz ze swymi czynami w pamięci ludzkiej. Komuniści mordując rotmistrza postawili się w historii na właściwym im miejscu: na jeźdźców, okupantów i zdrajców. Dziś możemy powiedzieć o sobie: tyle w naszych sercach i w umyśle miejsca na Polskę i Polaków, ile znalazło się w niej właściwej pamięci o czynach i życiu Witolda Pileckiego, pośmiertnie awansowanego przez Niepodległą do stopnia majora. Honorując rotmistrza i jemu podobnych bohaterów, ofiary spotkania Polaków z dwoma pogańskimi systemami, sami stajemy się lepsi. ■



Powstańcza barykada na skrzyżowaniu ulic Żytniej i Karolkowej

Jan Żaryn

Profesor nauk humanistycznych, historyk, wieloletni wykładowca akademicki Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, wcześniej Uniwersytetu Warszawskiego, były pracownik Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk oraz Instytutu Pamięci Narodowej. 17 lutego 2020 r. powołany został na stanowisko p.o. dyrektora Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. R. Dmowskiego i I. J. Paderewskiego. Senator IX kadencji.

■ SPOŁECZEŃSTWO



Polskość w dobie społeczeństwa masowego

Na nasze trudności w określeniu tego, czym jest polskość, polska kultura, wpływa głównie przerwanie naturalnego rytmu autodefiniowania się narodu i dostosowania tych definicji do realiów współczesnego świata

Tożsamość narodowa to trudna sprawa. Trudna, zwłaszcza w czasach globalizacji, wszędzie na świecie, ale chyba nigdzie tak bardzo jak w kraju, gdzie tradycje narodowe są silne i poetyczne, a rzeczywistość uparcie układa się w taki sposób, że ciągle okazują się nieadekwatne.

Kiedyś, w mrocznych czasach zniewolenia, gdy o suwerenności można było tylko marzyć, mieliśmy silną tożsamość narodową i wizję roli naszej kultury w dziejach świata. Co z tego, skoro była nieprzydatna i zupełnie nie nadawała się do życia pod zaborami/okupacją. Brzmi

to jak okrutny żart – właściwie adekwatna wówczas byłaby tylko mentalność niewolnika i asymilacja kultury okupanta. Jednak, jak się wydaje, problem z adekwatnością kultury narodowej do – mówiąc potocznie – rzeczywistości, mamy do dzisiaj.

Polska tożsamość

Przez chwilę wolności w II RP mogliśmy wziąć się do rzeczy i wcielić ideały polskości w struktury społeczne. W ciągu 20 lat ledwie zdołaliśmy jakotako ułożyć stosunki etniczne, napisać własne podręczniki historii i języka polskiego, wydrukować w państwowych drukarniach własnych wieszczów i me-

galomanów (przedtem jeszcze założyć te drukarnie), nakręcić pierwsze propagandowe filmy, a już przyszła nowa rzeczywistość kosmopolityczno-socjalistyczna. Znowu polskość okazała się nieadekwatna. Oczywiście podjęto, w nowych warunkach, zadanie redefinicji polskości. Skutki pamiętamy jeszcze dobrze: Cepelia, Mazowsze, w literaturze motyw walki chłopca z obszarnikiem, mała krakowianka z goździkiem dla sekretarza.

W tym samym czasie, niezależnie, zaczęła napływać do nas nowoczesność. Również jej postulaty miały udział w zmianie treści podręczników, do których nie tylko wprowadziliśmy prze-



Wydaje się, że problem z adekwatnością kultury narodowej do rzeczywistości, mamy do dzisiaj.

wodnią rolę i braterstwo z Wielkim Bratem, ale i wykreśliłiśmy to, co przeczyło nowoczesnej demokracji i kiełkującej politycznej poprawności. Nowoczesność wraz z ideami globalizacyjnymi, współczesną demokracją dyskwalifikuje pewne elementy tradycyjnej polskiej tożsamości, która skądinąd odradza się co i rusz (po 1989 odrodziła się w niektórych środowiskach żywcem jakby przeniesiona z międzywojnia, a czasem nawet z Polski feudalnej).

Polskość dzisiaj to pojęcie niejasne, a i raczej rzadko dyskutowane na szerszej płaszczyźnie. Refleksja nad odrębnością, charakterem polskiej kultury spo-

wodowana obawą o losy polskiej kultury w perspektywie globalizacji i przynależności do Unii Europejskiej, ma miejsce – ale tylko w wąskich kręgach społecznych. Paradoksalnie, powszechna dysputa nad polskością, o ile w ogóle można o niej mówić, wywołana jest przez oczekiwania samej Unii, która przewiduje w zestawie również miejsce dla tradycji: wręcz przymusowe pięć minut dla odrębności, różnorodności narodowej. Jednakże różnorodność, jakiej Europa oczekuje, jest ściśle określona: obwarowana polityczną poprawnością i wymogami marketingowymi selekcyjnymi „kulturowy towar”, który ma znaleźć swojego nabywcę. Określanie tożsamości Polaków w czasach kultury masowej zajmują się więc specjaliści od marketingu.

Kulturowa nieciągłość

W kulturze wyodrębnić możemy dwie sfery: instytucjonalną, a więc uprawomocnioną w społeczności (jest to szczególnie ważna sfera w czasach nowożytnych, czasach prawa), oraz sferę symboliczno-aksjologiczną, odnoszącą się m. in. do wartości, idei i obyczajów. Zgodzić się wypada z Monteskiuszem, który spostrzegł, iż świat tworzony przez prawodawców to inna sfera niż obyczaje, które ewoluują powoli i kierują się własnymi regułami. Jeśli zgodzimy się, że w Polsce sfera instytucjonalna znajduje się obecnie pod silnym wpływem idei europejskiej demokracji, kapitalizmu, które musimy przejść (zasymilować) z zewnątrz, jeśli do struktur europejskich musimy dostosować

nasze prawo, instytucje, to powstaje pytanie nadążania za tym sfery obyczajów, bardzo ważnego składnika kultury. Rodzi się problem jednolitości kultury, spójności w obu sferach.

Oczywiście w miarę rozwoju cywilizacji i postępów racjonalistycznego odczarowania świata dokonuje się rozdział kultury instrumentalnej od symboliczno-aksjologicznej. Zauważmy jednak, że ów rozdział kulturowy wygląda w Polsce inaczej niż w krajach Europy Zachodniej. Kultury zachodnie ewoluowały harmonijnie poprzez wszystkie stadia kapitalizmu i demokracji, rozwijając i unowocześniając przy tym koncepcję narodu i własnej kultury. Specyfika współczesnych krajów postkomunistycznych polega natomiast na tym, że nie brały one udziału w owym procesie racjonalizacji: kultura narodowa, symboliczno-aksjologiczna nie towarzyszyła systemowi, ale raczej była nośnikiem opozycji, rozwijanym w ukryciu. Na nasze trudności w określeniu tego, czym jest polskość, polska kultura, wpływa głównie przerwanie naturalnego rytmu autodefiniowania się narodu i dostosowania tych definicji do realiów współczesnego świata – bowiem odgórnie planowana i ręcznie sterowana w czasach PRL-u była nie tylko gospodarka i instytucje, ale i obyczaje, koncepcje narodu, patriotyzm. Cywilizacyjne „zapóźnienie” i pośpiech, z jakim wdrażamy gospodarkę rynkową i usiłujemy w ciągu kilkunastu lat przeprowadzić proces, który na Zachodzie nieprzerwanie trwał całe wieki, dotyczy rów-



fol. AdobeStock

Cywilizacyjne „zapóźnienie” i pośpiech, z jakim wdrażamy gospodarkę rynkową i usiłujemy w ciągu kilkunastu lat przeprowadzić proces, który na Zachodzie nieprzerwanie trwał całe wieki, dotyczy również zmian kulturowych, obyczajowych i mentalnych.

niez zmian kulturowych, obyczajowych i mentalnych. Wraz z dobrodziejstwem współczesnego kapitalizmu, przyswoić mamy bagaż europejskich wartości, norm, legend, zachodnich zakazów i nakazów kulturowych i ustaleń, których nie byliśmy negocjatorami. Właściwie można powiedzieć, że w dużej mierze przed Polską stoi zadanie akulturacji. Oczywiście jest bowiem, że polskość nie jest osadzona w żaden sposób w owych strukturach i filozofii świata, który usiłujemy przenieść na polski grunt.

W poszukiwaniu polskości

Trzeba się wprawdzie zgodzić, że tradycyjna świadomość, kultura narodowa ustępuje dziś na ogół miejsca świadomości „obywatela świata”. Wiadomo, że człowiek współczesny ma wiele tożsamości, przynależy do ogromnej liczby grup społecznych mających zasięg już nie tylko lokalny czy narodowy, ale ponadpaństwowy – wiadomo, że tożsamość narodowa nie musi być dziś najważniejsza. Jednak trzeba przyznać, że nawet zmarginalizowana tożsamość narodowa na Zachodzie jest jednak powiązana z rzeczywistością dnia codziennego, wpisana w strukturę, wiąże się w jakiś sposób ze światem idei przyjętych przez system i gospodarkę. Na przykład tożsamość Amerykanów i ich patriotyzm silnie wiążą się z demokracją, liberalizmem; podobnie i w Europie, gdzie tradycje kapitalizmu powiązane są z „charakterem narodowym” czy chociażby słynną „etyką protestancką”. Dlatego pozytywnie należy przyjąć w Polsce te próby kształtowania tożsamości naro-

dowej, które wskazują nie różnice, ale powiązania pomiędzy współczesnym światem a polską tradycją: na przykład wskazujące na te elementy polskiego dziedzictwa narodowego, takie historyczne wzory, które zachęcają do przedsiębiorczości, aktywności obywatelskiej. Jednakże takie działania stanowią wyjątek. Na co dzień polskość kojarzy się przeciętnemu obywatelowi z zamierzchłą przeszłością, ideałami nie pasującymi do rzeczywistości, romantycznymi mrzonkami. Patriotyzm jest ważną wartością dla pokolenia weteranów walki o wolność – współcześnie wciąż czeka na nową definicję, która trafiłaby również do młodych. Właściwie, jeśli przyjmiemy, jak ważna jest w kulturze sfera obyczajów – możemy zaryzykować twierdzenie, że jedyny masowy żywy patriotyzm (oprócz środowisk związanych z Kościołem), możemy odnaleźć w Polsce w środowisku kibiców sportowych. Tam poczucie tożsamości, dumy narodowej jest silne, bo wyrażane w pełnych sensu rytuałach, jakim są mecze i towarzyszące im zachowania. Kibice tworzą współczesną kulturę – co z tego, że prymitywna? Mamy tu i współczesne piosenki o silnych Polakach, i narodowe stroje jakże współczesne (nikt tak nie epatuje czerwienią i bielą jak to właśnie środowisko).

Miejmy nadzieję, że doczekamy patriotyzmu na miarę naszych czasów, który będzie nie tylko wspomnianiem historii, ale współczesnym żywym ruchem, obejmującym wszystkie sfery: instytucji, obyczajów, mentalności, wartości. ■

Anna Michalska



EDUKACJA

Szachy do szkół

Cieszy rosnąca popularność gry w szachy wśród dzieci. Nie ma chyba prostszego i tańszego sposobu na rozwój u nich logicznego myślenia, koncentracji i sztuki rywalizacji.

Dzieci od najmłodszych lat wykazują zainteresowanie królewską grą, jeśli tylko stworzy im się odpowiednie ku temu warunki. Szachy przyciągają estetyką, konstrukcją figur i miłym w dotyku drewnianym materiałem, z którego są wykonane. No i wesoło grzechoczą w pudełku. Miło jest się nimi po prostu bawić w układanie i przekładanie, w mieszanie białych z czarnymi.

Gra pobudza wyobraźnię. Na drewnianej szachownicy stają naprzeciw siebie dwie armie – białych i czarnych, jest król i królowa (hetman), wieże (pułkownicy), skoczek, gонец i 8 pionków (żołnierzy). Skojarzenia militarne nie są przypadkowe, u swoich indyjskich źródeł szachy były grą militarno-strategiczną. Wersja indyjska nosiła nazwę czaturanga i wspominana jest w pismach z VI w. p.n.e. Gra i zasady ewoluowały, w miarę jak szachy podbiły świat. Od Indii przez Persję i Półwysep Arabski aż do Europy, gdzie stały się znane w X-XI w.

Posłowie i naukowcy zgodni

Niektóre kraje kochają wprost szachy i są tam one sportem narodowym (w Armenii czy Hiszpanii szachy są obowiązkowym przedmiotem nauki w szkole), w innych dostrzega się ich walory i są obecne w szkołach. W 2012 r. Parlament Europejski zalecił krajom unijnym wprowadzenie szachów do szkół, podkreślając, że gra jest dostępna dla wszystkich i może „przyczynić się do osiągnięcia spójności społecznej i realizacji celów politycznych takich jak integracja społeczna, zwalczanie dyskryminacji, zmniejszenie wskaźnika przestępczości czy nawet walka z różnymi rodzajami uzależnień”. Parlamentarzyści podkreślają, iż gra „może poprawić koncentrację dziecka, zwiększyć cierpliwość i wytrwałość, a także rozwinąć zmysł twórczy, intuicję, pamięć oraz umiejętności analitycznego myślenia i podejmowania decyzji”.

Również naukowcy wskazują na bardzo pozytywne działanie gry. Centrum Diagnostyki Psycholo-



Rameshbabu Pragganandhaam, ma 15 lat, jest jednym z najmłodszych arcymistrzów

Gra może poprawić koncentrację dziecka, zwiększyć cierpliwość i wytrwałość, a także rozwinąć zmysł twórczy, intuicję, pamięć.

gicznej na Uniwersytecie w Trewirze badała od 2003 do 2007 roku dzieci w szkole podstawowej w Olewig. W ciągu czterech lat w jednej klasie jedną z trzech tygodniowych lekcji matematyki zastąpiono szachami, a w drugiej pozostawiono trzy godziny matematyki. Uczniowie z szachami wyprzedzili od razu rówieśników

pozbawionych szachów – także w matematyce. U szachistów poziom wiedzy z matematyki i umiejętność czytania były dwa razy lepsze niż średnia krajowa w szkołach w Nadrenii-Palatynacie w teście porównawczym w czwartej klasie. Umiejętność czytania była dwa i pół razy lepsza, a nauka języka trzykrotnie lepsza niż w przypadku osób niebędących szachistami.

Inne badania dowodzą, że gra w szachy pomaga leczyć autyzm, chorobę Aspergera, czy ADHD. W 2012 r. w Collado Villalba pod Madrytem psychiatra dziecięcy Hilario Blasco i szachista Luis Blasco przeprowadzili eksperyment z 44 dziećmi obu płci w wieku od 8 do 16 lat, u których zdiagnozowano ADHD. Dzieci miały trzy godziny lekcji gry w szachy w tygodniu przez trzy miesiące. Korzystały z programu zaprojektowanego specjalnie dla nich, aby pomóc im w liczeniu, zapamiętywaniu, uważności, podejmowaniu decyzji i poprawie pamięci. Projekt nazwano „Szach-mat dla ADHD”. Pierwsze efekty było widać po 18 miesiącach. Poprawę w zachowaniu dzieci zauważyli rodzice i prowadzący program. Poprawa dotyczyła zarówno zachowania w szkole, jak i domu. Największą poprawę zanotowano wśród dzieci, które grały najczęściej, co oznacza, że można mówić o tak zwanym efekcie „dawki”. Znamienne też, że żadne z dzieci nie zrezygnowało z udziału w projekcie. Czy szachy okażą się pomocne w terapii dzieci z ADHD muszą pokazać szcze-

gółowe badania, ale jak na razie są szanse, aby szachy stały się tanim, powszechnym i nie mającym środków ubocznych lekiem na poprawę zachowania dzieci cierpiących na to schorzenie.

Szachy są demokratyczne

Gra jest dostępna dla każdego, wystarczy poznać proste zasady. Cieszyć się nią można na każdym poziomie zaawansowania. To, czy ktoś zostanie szachistą zawodowym zależy od tego, na ile chce grę zgłębiać. Odnajdzie się w niej jednak każdy, kto lubi bezpośrednią walkę, strategię, podstęp. Możliwość ruchów i kombinacji może jednak przerażać, ale to tylko teoretyczny wymiar gry. Przy rozpoczęciu partii białe i czarne mają 20 możliwości, czyli w dwóch pierwszych pojedynczych posunięciach jest 400 różnych wariantów gry. Ilość możliwych kontynuacji szybko wzrasta wraz z kolejnymi ruchami. Po 3 jest to 8902 kombinacji, po 4 to 197281, a po 8 ruchach 84 998 978 956. Oczywiście zawodowi szachiści znają podstawowe kombinacje do kilkunastu ruchów, więc nie muszą wszystkiego obliczać. Czy warto inwestować w szachowe zajęcia dla dziecka? Paul Morphy, amerykański szachista, nieoficjalny szachowy mistrz świata w latach 1858-1884, mistrz gry „na ślepo”, czyli bez patrzenia na szachownicę mówił: „Nauczcie dzieci grać w szachy, a o ich przyszłość możecie być spokojni”. ■

Michał Rogulski



Samuel Reshevsky podczas symultany, Francja 1920

■ FILM

Clint Eastwood – żywa legenda kina

Zagarnął prawie wszystkie największe nagrody filmowe, zdobył miłość widzów na całym świecie i ze swoim Magnum 44 na stałe wszedł już do historii kina.



Bartosz Wiczorek

Jego gra aktorska jest maksymalnie oszczędna, mimika sprowadzona do minimum (gra z kapeluszem lub bez), ale jego magnetyzująca osobowość działa na widza, niezależnie od tego czy Clint Eastwood gra w filmie sensacyjnym, westernie czy filmie obyczajowym. Tak jak wielki Charlie Chaplin jest Eastwood człowiekiem-orkiestrą – reżyser, scenarzysta, aktor, muzyk, kompozytor, producent. Eastwood ma jednak też grono zagorzałych krytyków, oskarżających go o mizoginizm, kult przemocy czy wręcz faszyzm. 31 maja Mistrz skończy 90 lat.

Kino nie było mu wcale pisane. Urodził się 31 maja 1939 r. w San Francisco w robotniczej rodzinie. Był czas Wielkiego Kryzysu w Ameryce, co zmuszało rodziców Clinta do ciągłej wędrówki za pracą. Nie żył w biedzie, ale rodzina musiała cały czas walczyć o byt. Dzieciństwo spędził więc praktycznie w podróży. Niełatwe warunki dorastania zaszczepiły w nim skłonność do oszczędzania, kult pracy i samodzielności. Od małego był introwertykiem, trudno zawierającym znajomości, co pogłębiły jeszcze częste przeprowadzki i zmiany szkoły. Ucieczką dla niego stała się muzyka, nauczył się grać na pianinie przeboje jazzowe. Eastwood uwielbiał szczególnie muzykę Charlie Parkera – poświęcił mu swój film „Bird” (1988). Po skończeniu technikum samochodowego miał się różnych zajęć – pracował w tartaku, jako ratownik czy strażak.

Brudny Harry

Na początku lat 50-tych zostaje powołany do wojska, gdzie styka się z aktorami i ludźmi filmu – jako kinooperator puszcza żół-



fot. materiały prasowe

nierzom amerykańskie filmy podnoszące ich na duchu, w tym westerny. Po latach Eastwood wyzna miłość do dwóch ściśle amerykańskich wynalazków: jazzu i westernu. Po odbyciu służby próbuje swych sił jako aktor, chodzi na castingi, gdzie wyróżnia się wysokim wzrostem (193 cm) oraz charakterystycznym, surowym, męskim wyrazem twarzy. W kwietniu 1954 r. wytwórnia Universal podpisuje z nim 20 tygodniowy kontrakt (będzie zarabiał 75 dolarów tygodniowo), w czasie którego pobiera też lekcje gry aktorskiej. Gra epizody w filmach klasy B jak „Zemsta potwora” (1955) czy „Tarantula” (1955). Rozpoznawalność gwarantuje mu dopiero udział w bardzo popularnym serialu westernowym „Rawhide” (1959).

Drogę na filmowy Olimp otwiera mu jednak dopiero współpraca z włoskim reżyserem Sergio Leone, który swoimi spaghetti westernami na zawsze odmienił oblicze gatunku. W filmach „Za garść dolarów” (1964), „Za kilka dolarów więcej” (1965), czy w arcydziele „Dobry, zły i brzydki” (1966) rodzi się Clint Eastwood, jako „człowiek bez imienia”, rewolwerowiec, który jest zaprzeczeniem ideału, jaki znali Amerykanie z filmów z Johnem Wayne’em. Eastwood doskonale swoją minimalistyczną grą wpisał się w obraz Dzikiego Zachodu, jaki pokazał włoski reżyser: to był świat przemocy i strachu, gdzie prawo należało dla najsilniejszego i najbardziej cynicznego. W świecie, który

Lata 70-te to złote czasy dla Eastwooda, o ile bowiem udział w filmach Leone późno dotarł do amerykańskiej publiczności, to piorunujące wrażenia zrobił na niej inspektor Harry Callahan, czyli Brudny Harry.



Clint Eastwood obecnie

ukazał Leone nie ma dobrych i złych, są tylko silni i słabi. Lata 70-te to złote czasy dla Eastwooda, o ile bowiem udział w filmach Leone późno dotarł do amerykańskiej publiczności, to piorunujące wrażenia zrobił na niej inspektor Harry Callahan, czyli Brudny Harry. Seria pięciu filmów z tym bezkompromisowym stróżem prawa (1971-1988) uczyniła z Eastwoda ikonę pop kultury.

Zmęczony rewolwerowiec

Nie sposób omówić kolejnych dzieł i ról Eastwooda, ale kamieniem milowym w jego twórczości było arcydzieło „Bez przebaczenia” (1992), które przyniosło twórcy nominację oscarową dla najlepszego aktora i Oscara dla najlepszego reżysera. W czasie, kiedy wydawało się, że western jako gatunek filmowy już wymarł, Eastwood tworzy swoją mroczną opowieść o byłym rewolwerowcu, który ponownie musi zabijać dla pieniędzy. Nie zawsze gra jednak bezwzględniego twardziela. Romantyczne oblicze pokazuje choćby w filmie „Co się wydarzyło w Madison County” (1995), w którym towarzyszy mu Meryl Streep. Początek XXI wieku to wielki powrót Eastwooda. Reżyserowana przez niego „Rzeka tajemnic” (2003) nominowana była w czterech kategoriach do Oscara. W filmie, Eastwood objawił się jako znawca natury ludzkiej, stawiający najbardziej fundamentalne pytania. Na szczyt popularności wynosi go jednak film „Za wszelką cenę” z Hilary Swank i Morganem Freemanem, który zgarnia całą pulę nagród w tym cztery Oscary, Złote Globy i Cezara. Uwagę publiczności zwraca też jego film „Gran Torino” (2008), gdzie stworzył postać złośliwego rasisty, któremu czas zatrzymał się w Ameryce lat 50-tych i przez to nie może pogodzić się ze zmianami w kraju, a szczególnie z pojawieniem się imigrantów. Eastwood gra więc postać idącą pod prąd poprawności politycznej i narracji narzucanej przez liberalne wartości. Czy nie dlatego nie dostał nominacji do Oscara? Można tylko gdybać. Faktem jest, że w zakończeniu filmu nie pojawi się znane widzom rozwiązanie, czyli Eastwood nie będzie zbrojnie walczył ze złem, lecz dokona swoistej ofiary.

Clint Eastwood zmienił się, tak jak zmieniła się Ameryka. Dziś dawny bohater z Magnum 44 razilił anachronicznością, co nie oznacza, że „człowiek bez imienia” milcząco będzie patrzył na niesprawiedliwość. Nadal wyznaje konserwatywne wartości, ale w nowoczesnym wydaniu. I to jest jego największa siła. Warto więc oglądać Clinta, gdyż w nim, jak w Chaplinie odbija się jakiś ważny rys ducha Ameryki – ducha pierwszych osadników, którzy z siekierą w dłoni i z Biblią pod pachą tworzyli Nowy Świat. ■

BIOGRAFIE

Papież, który zatrzymał komunizm

Urodził się, kiedy trwała wojna polsko-bolszewicka, dorastał w Polsce, której ZSRR narzucił ustrój – jako papież walnie przyczynił się do upadku komunizmu w Europie.

18 maja mija sto lat od urodzin Karola Wojtyły, postaci fundamentalnej dla zrozumienia losów Polski, Europy środkowo-wschodniej i świata. Pierwszy od 455 lat papież nie będący Włochem zasiada na tronie Piotrowym. Pochodzi on z „dalekiego kraju”, zza tzw. żelaznej kurtyny i niesie ze sobą doświadczenie zniewolenia przez sowiecki totalitaryzm, co pomoże mu później „rozmontowywać” zbrodniczy system. Do Watykanu Wojtyła przynosi też ducha dialogu, tolerancji religijnej oraz dużo słowiańskiej witalności. Wprowadzi też do debaty europejskiej problem braku reprezentacji w Europie krajów słowiańskich, walcząc ze stereotypem, iż prawdziwa Europa kończy się na wschodniej granicy Niemiec. Dla niego Europa ma dwa płuca – wschodnie i zachodnie.

Europa musi być jednością, tak ją widział Wojtyła, jako polski biskup i naukowiec. Na rzecz takiej Europy pracował. Tuż po konklawe włoskiemu radiu mówił o wybranym biskupie Bronisławie Dąbrowskim, sekretarzu Episkopatu Polski: „Żyje bardzo ubogo. Gdybyście widzieli, jak mieszka w Krakowie, gdzie jest wielki pałac, a on zajmuje mały pokój, nic więcej... To człowiek pracy. Śpi mało, pracuje wiele”.

Zmiana polityki wschodniej Watykanu

Kiedy 16 października 1978 r. został wybrany na papieża na Kremlu doskonale wiedzano, że będzie to papież, który może zaszkodzić totalitarnemu systemowi. Ówczesny przywódca ZSRR Leonid Breżniew uważał, że Jana Pawła II to groźny prze-



Jan Paweł II i Ronald Reagan, Floryda, 1987 r.

ciwnik ideologiczny i polityczny. Entuzjastycznie wybór Wojtyły przyjęto w USA, zastępca szefa CIA Vernon stwierdził: „Sowieci przegrali bitwę. Człowiek ze Wschodu, z największego kraju katolickiego, system zna lepiej niż ktokolwiek z nas na Zachodzie”. Rzeczywiście, w odróżnieniu od wielu polityków i intelektualistów na Zachodzie Jan Paweł II doskonale rozumiał zło ustroju komunistycznego, wiedział, że cały system opiera się na zniewoleniu jednostki. Wiedział też, że jedynie pokojowe i cierpliwie działania mogą doprowadzić do jego upadku.

W sposób fundamentalny Jan Paweł II w Watykanie zmienił tzw. Ostpolitik, czyli politykę wschodnią, która zakładała tymczasową akceptację istnienia komunizmu dla ratowania działających na jego obszarze struktur Kościoła katolickiego. Polski papież zdecydował, że należy prowadzić działania na rzecz obecności Kościoła i jego misji w życiu publicznym. Pierwszym potwierdzeniem tej zmiany była pielgrzymka papieża do ojczyzny rządzonej przez ekipę Edwarda Gierka.

Kiedy przybył do Polski na początku czerwca 1979 r. przywiózł ze sobą nadzieję dla zniewolonego kraju, a jego słynne prze-

mówienie na Placu Zwycięstwa było symbolicznym początkiem końca zniewolenia Polaków. Pielgrzymkę papieża uważnie śledził były gubernator Kalifornii Ronald Reagan, który dostrzegł, że polski papież może zmienić bieg historii. Wkrótce papież miał pojawić się w USA.

Wobec imperium zła

6 października 1979 pierwszy raz w historii papież gościł w Białym Domu. Prezydent Jimmy Carter powitał go po polsku słowami: „Niech będzie Bóg pochwalony!”. Oprócz rozmów z prezydentem Carterem Jan Paweł II poznał Zbigniewa Brzezińskiego, doradcę prezydenta znanego z antykomunistycznych poglądów. Obaj zgadzali się, iż najlepszą drogą pokonania komunizmu jest doprowadzenie do jego wewnętrznego załamania.

W styczniu 1981 r. prezydentem USA został Ronald Reagan, który z czasem stanie się liderem bloku zachodniego w walce z komunizmem. Zacieśnione zostają kontakty między Watykanem i USA. Zdaniem wielu analityków to „święte przymierze” między Ronaldem Reaganem a Janem Pawłem II przyczyniło się właśnie do upadku komunizmu.

„To był niesamowity człowiek. Wielki przywódca duchowy, myśliciel, humanista. Absolutnie postać historyczna numer jeden” – powie po latach Gorbaczow.

Pierwszy raz osobiście spotkali się 7 czerwca 1982 r. w Bibliotece Watykańskiej. Zdjęcia pokazują ich siedzących naprzeciwko siebie na jasnych krzesłach przy biurku. Blisko godzinę rozmawiali w cztery oczy. Obaj mieli poczucie misji – obalenie ateistycznego komunizmu. Obaj przeszli niedawno zamachy na swoje życie. Mieli poczucie powagi chwili i roli, jaką mają spełnić w historii. Łączyła ich zadziwiająca jedność myśli – komunizm uznawali za uosobienie zła, odrzucali też ustalenia z Jałty, które kraje Europy wschodniej oddały we władanie ZSRR. W książce „Papież i prezydent” amerykański politolog Paul Kengor opisał

szczegółowo niezwykle partnerstwo tych dwóch ludzi.

Koniec imperium

Niemożliwe staje się możliwe. Zbliży się koniec ZSRR i wtedy papież razem z ówczesnym przywódcą radzieckim Michaiłem Gorbaczowem spotykają się w 1989 r. w Watykanie, aby rozmawiać o przyszłości. Papież chce, aby wydarzenia przebiegały pokojowo i by nie doszło do ingerencji w krajach, które wymykają się Moskwie spod kontroli. „To był niesamowity człowiek. Wielki przywódca duchowy, myśliciel, humanista. Absolutnie postać historyczna numer jeden” – powie po latach Gorbaczow.

Kiedy imperium zbliży się do upadku Jan Paweł II w swoim tradycyjnym orędziu do korpusu dyplomatycznego z 13 stycznia 1990 r. mówi: „Warszawa, Moskwa, Budapeszt, Berlin, Praga, Sofia i Bukareszt stały się jakby etapami długiej pielgrzymki ku wolności”. Rzecz znamienna, włącza też Rosję do budowania nowego ładu w Europie. Tylko bowiem w dialogu można tworzyć ramy wspólnego życia. ■

■ FILM

„Ostatni Akord”, czyli film o rodzinie

Profesjonalny film krótkometrażowy o znaczeniu rodziny i przebaczenia stworzony przez dwójkę licealistów. Wszystko zaczęło się od chęci opowiedzenia historii.

Festiwal w Cannes, Wenecji, Toronto, Tokio i wiele więcej – trudno sobie wyobrazić bardziej prestiżowe wydarzenia dla filmowca. Setki świetnych produkcji, najlepsi aktorzy i wybitni reżyserzy. Wydaje się, że w takim otoczeniu powinni znaleźć się jedynie profesjonalści z wieloletnim doświadczeniem. Gdy dwa lata temu, jako para zapalonych gimnazjalistów zaczęliśmy pierwsze prace nad „Ostatnim Akordem” nawet nie myśleliśmy, że po ukończeniu prac sami wyślemy zgłoszenie na tak poważane festiwale. Nie posiadaliśmy wtedy, ani wyższego wykształcenia w dziedzinie kinematografii, ani zbyt dużego doświadczenia w produkcji profesjonalnego filmu. Mieliśmy za to ogromny zapał, samozaparcie i chęć do przekazania na ekranie ważnej dla nas samej historii. Od początku chcieliśmy stworzyć coś ambitnego, lecz nie spodziewaliśmy się, że parę książek o pisaniu scenariusza i bolesna nauka na błędach sprawią, że stworzymy tak profesjonalny film krótkometrażowy!

O życiu i śmierci

„Ostatni Akord” to rodzinna historia o spełnianiu marzeń i niezdrowym rodzicielstwie. Dwudziestoletni Tomek, to wybitny muzyk fortepianowy, który żyje w cieniu swojej matki, niespełnionej pianistki muzyki klasycznej. Obserwując swojego syna, który podobnie jak ona ma wybitny talent i słuch muzyczny, staje się idealnym kandydatem do kontynuowania jej porzuconej kariery. W filmie staramy



foto: materiały prasowe

się zwrócić uwagę na problem wielu młodych osób, które przez brak wsparcia rodziny bardzo często muszą same zmagać się z depresją. Sami mieliśmy styczność z podobnymi sytuacjami i chcieliśmy podzielić się z szeroką widownią naszymi przemyśleniami na temat osamotnienia młodych ludzi w podejmowaniu ważnych decyzji życiowych.

Krew, pot i setki stron

Już na etapie prac nad scenariuszem zmagaliśmy się z wieloma trudnościami – przede wszystkim naszym brakiem doświadczenia. Szybko stało się jasne, że świetne pomysły, które przychodziły nam do głowy podczas emocjonujących dyskusji są niezwykle trudne do przelania na papier. Co więcej, okazało się, że nie mamy aż tak skonkretyzowanej wizji. Mimo tego na przestrzeni roku intensywnie pracowaliśmy nad skryptem „Ostatniego Akordu”. Stopniowo od zupełnych laików przeszliśmy drogę do świadomych scenopisarzy. Podczas tego burzliwego okresu zapisaliśmy setki stron dialogów... z czego do ostatecznego scenariusza trafiło całe piętnaście.

Zbieranie orkiestry

Prawdziwym przełomem było dla nas znalezienie producenta – Arkadiusz Siwko przeczytał nasz scenariusz i uznał, że chce zrobić z tego profesjonalną produkcję! Jeszcze podczas pisania scenariusza liczyliśmy, że w filmie zagrają co najwyżej studenci szkoły teatralnej, ale producentowi udało się zatrudnić znanych aktorów w postaci Aleksandry Koniecznej („Boże Ciało”), Mateusza Więclawka („Zieja”) oraz Józefiny Siwko („Psy 3. W imię zasad”). Mogliśmy również wynająć profesjonalną ekipę ze sprzętem. Od tego momentu film przestał być już skromnym projektem uczniowskim, ale profesjonalną produkcją kinematograficzną. Zdobyliśmy także piękne plany zdjęciowe, czyli historyczną parafię św. Zygmunta w Słomczynie pod Warszawą oraz budynek Domu Polonii na Krakowskim Przedmieściu. Gdy stanęliśmy w jej nastrojowych wnętrzach i wysłuchaliśmy fortepianowych interpretacji Chopina autorstwa Filipa Wojciechowskiego, poczuliśmy, że naprawdę stoimy w miejscu żywca wyciągniętym ze scenariusza.

Zdobyliśmy także piękne plany zdjęciowe, czyli historyczną parafię św. Zygmunta w Słomczynie pod Warszawą oraz budynek Domu Polonii na Krakowskim Przedmieściu.

Po paru miesiącach przygotowań przyszedł czas na nakręcenie „Ostatniego Akordu”. Dopiero gdy stanęliśmy na planie zdjęciowym zrozumieliśmy, że całe życie oglądaliśmy filmy, ale dopiero ujrzenie na żywo aktora, który nie tyle gra, co staje się postacią z naszego scenariusza... to doświadczenie poza jakimikolwiek oczekiwaniami. Warsztat aktorski bohaterów „Ostatniego Akordu” był fenomenalny i bez wątpliwości nam zaimponował.

Przedostatni Akord

Kiedy skoczyliśmy zdjęcia, przyszedł czas na montaż. Tu-

taj właśnie nastąpiło rozliczenie naszej pracy – to na montażu naprawdę okazało się czy zarejestrowany materiał składa się w interesującą całość. Proces ten można porównać do układania wielkiego pudełka puzzli. Tysiące kawałków, które wszystkie muszą ze sobą współgrać, by stworzyć jeden piękny obraz. Musieliśmy wybrać ujęcia, które najbardziej oddawały sedno naszego filmu. Razem ze studiem „Platige Image” oraz „FILMGARDEN”, złożyliśmy najlepszą możliwą układankę scen, koloru oraz dźwięku.

Czy będą brawa?

„Ostatni Akord” przebył długą podróż. Od pomysłów wymyślanych na szkolnym korytarzu, przez włączenie w projekt profesjonalnej ekipy, aż po zaakceptowanie wersji końcowej i zgłoszenie jej na festiwale. Aktualnie znawcy filmowi na całym świecie oceniają nasz film, a my nie możemy się doczekać oficjalnej premiery i zachęcamy do śledzenia newsów na naszym profilu na Instagramie – ostatni_akord. ■

Franciszek Stokłosa
i Franciszek Siwko

■ ZDROWIE

Szpital – samotność i solidarność

Zamknięte szpitale, w których przebywają chorzy na koronawirusa to miejsca wielkiej próby dla chorych i całego personelu medycznego.

Ogłoszenie stanu epidemii w Polsce w sposób szczególny odczuły szpitale i pracujący tam ludzie. Czasem z dnia na dzień ogłoszona została w szpitalu kwarantanna, często jakieś oddziały szpitala przeznaczono na oddziały zakaźne, czasem cały szpital stawał się szpitalem jednoimiennym, czyli w całości przeznaczonym do walki z przypadkami koronawirusa.

To była rewolucja dla pracujących tam osób: lekarzy, pielęgniarek, salowych i całego pomocniczego personelu. Lęk o własne zdrowie i osób najbliższych, potrzeba noszenia krępującego stroju, ograniczenia w swobodzie przemieszczania, zachowywanie restrykcyjnych środków ostrożności w czasie zwykłej rozmowy doskwierały wszystkim. Nikt nie mógł być gotowy na zaistniałą sytuację.

Trudne początki

Lekarka Anna pracuje w jednym z warszawskich szpitali. Wspomina stres towarzyszący początkom epidemii. – Szpital, w którym pracuję przyjmuje wyłącznie chorych z COVID-19 oraz innymi chorobami towarzyszącymi. Na samym początku, gdy się o tym dowiedziałam towarzyszyła mi bardzo duża niepewność i pytanie – jak to będzie? Czy otrzymamy wystarczająco dużo środków ochrony osobistej, czy poradziemy sobie z leczeniem choroby, o której tak niewiele wiemy? To był bardzo duży stres. Pierwszy tydzień minął na organizacji na nowo przestrzeni, w której pracujemy, na wydzielaniu na oddziałach stref czystych i skażonych, na szkoleniach z ubierania się i bezpiecznego rozbierania ze strojów ochronnych. Emocji towarzyszyło nam bardzo dużo, dodatkowo to właśnie na lekarzach spoczęła odpowiedzialność za uniesienie emocji nie tylko swoich, ale i personelu, za który jesteśmy odpowiedzialni.



foto: Ani Kollshi / unsplash

Emocje opadły, a my nauczyliśmy się z coraz większym spokojem funkcjonować w świecie z koronawirusem. Czy jest łatwo? Nie.

Wszyscy czekaliśmy w dużym napięciu na pierwsze przyjęcia – opowiada Anna.

W bardzo trudnej sytuacji znaleźli się także pacjenci, z reguły w podeszłym wieku. – Ludzie są niepewni, niechętni do zwierzeń i dlatego ciężko im pomóc, nie wiadomo, co im powiedzieć – mówi ojciec Zdzisław Gardocki, kapelan Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA. – Ostatnio córka jednej z pacjentek poprosiła o sakrament namaszczenia chorych dla swojej mamy. Porozmawiałem z mamą, zgodziła się, ale nie towarzyszyła temu żadna rozmowa – podsumowuje kapelan.

Często w rozmowach z personelem medycznym pada słowo „bezaradność” na opisanie panującego stanu rzeczy, który wywołała pandemia. – Epidemia pokazała, że na

wiele sytuacji nie mamy wpływu, że nasze plany, nie zależą od nas – stwierdza o. Zdzisław.

– Jesteśmy przyzwyczajeni do medycyny, która na większość dolegliwości ma skuteczny lek. Obecna sytuacja jest ogromną lekcją pokory – dodaje Anna.

Przyzwyczajenie

– Obecnie większość personelu przyzwyczała się do tej niecodziennej sytuacji. Środki ochrony musimy oszczędzać, lecz jak do tej pory dla nikogo ich nie brakuje. Nikt z nas nie zachorował. Nasi bliscy też są zdrowi. Już prawie dwa miesiące pracujemy w tych zupełnie innych warunkach. Emocje opadły, a my nauczyliśmy się z coraz większym spokojem funkcjonować w świecie z koronawirusem. Czy jest łatwo? Nie. Ja osobiście bardzo tęsknię za dotychczasową dynamiką pracy, za naszymi typowymi chorymi, planowymi przyjęciami, dyżurami i możliwością swobodnego kontaktu z pacjentami – opisuje swoje doświadczenia Anna.

Co może dziwić, wielu lekarzy nie dostrzega w swoim obecnym położeniu niczego szczególnego – po prostu leczą ludzi, jak do tej pory. – Bardzo często dostaję pytanie od wielu moich



foto: Jonathan Borba / unsplash

znajomych i przyjaciół, jak daję radę na pierwszej linii frontu, jak to jest pracować w szpitalu, który z dnia na dzień został przekształcony w jednoimienny szpital zakaźny. Zastanawiam się wtedy czy ja rzeczywiście robię coś wyjątkowego? Moim zdaniem nie. Praca, którą wykonuję owszem, zmieniła swój charakter – jednak wciąż opiera się o pomoc tym, którzy są chorzy, o niesienie im pomocy i wsparcia, a przede wszystkim o prostą, czasem monotonna, codzienną służbę – stwierdza Anna.

Okiem kapelana

Dla wielu osób będących w szpitalu ważnym łącznikiem z chorym jest kapelan szpitalny, który może odwiedzić chorego i udzielić mu sakramentu namaszczenia. Rodziny mają często kontakt telefoniczny z kapelanem, który opowiada im o spotkaniu z chorym.

– Od ogłoszenia stanu epidemii nasza posługa w szpitalu ogranicza się tylko do wezwań na życzenie rodziny z sakramentem namaszczenia chorych – mówi o. Zdzisław. – Nie ma innego sposobu dotarcia do chorych, my wchodzimy na teren szpitala



Dziękuję też codziennie za ogromne wsparcie społeczne. Za akcje wspierające służbę zdrowia – to naprawdę daje poczucie, że ludzie myślą o nas, doceniają nas.

ubrani w cały sprzęt ochronny. Jeśli chory jest przytomny i ma ochotę, to może się również wypowiedzieć, ale sprawa jest trudna ze względu na maskę, przyłbicę, co ogranicza słyszalność – opowiada kapelan.

Samotność chorych

– Z powodu panującej pandemii, praca na oddziale uległa

istotnym zmianom, odwołane są przyjęcia planowe, przyjmowani są tylko pacjenci z zaostrzeniem chorób, infekcjami, podejrzeniem nowotworu – mówi Michał, lekarz z Warszawy. – Cierpią na tym pacjenci, którzy długo czekali na hospitalizację, a ich stan nie wymaga pilnego przyjęcia. Z oczywistych względów, nie ma możliwości odwiedzin, co negatywnie wpływa na kondycję chorych w oddziale, szczególnie tych, których hospitalizacja trwa kilka miesięcy – niestety chorzy po przeszczepieniach narządowych mają zupełnie inny przebieg oraz etiologię np. zapalenia płuc niż w populacji ogólnej, ponadto wymagają podawania „silnych” leków, dlatego zwykle na oddziale przebywają bardzo długo – opowiada Michał.

– Pacjentom doskwiera najbardziej izolacja, nie mogą wyjść poza salę, a także brak kontaktu z rodziną, z bliskimi. Ludziom towarzyszy też przykry stan niepewności. Skazani są sami na siebie – potwierdza o. Zdzisław. – Trudno jest patrzeć, szczególnie na starsze osoby, których nikt nie może odwiedzić. Niestety, w normalnych warunkach, na oddziale zdarzają się cho-

rzy, których nikt nie odwiedza i zawsze bardzo trudno jest być świadkiem ich tęsknoty i samotności. W tym czasie pandemii, dotknęła ona wszystkich pacjentów – dodaje Michał.

– Coś co przychodzi mi najciężej, to akceptacja faktu, że wirus trafia w najsłabszych. Osoby bezdomne i osoby starsze, skoszarowane w DPS-ach, nie mają możliwości wyboru miejsca, w którym przebywają, nie mogą zdecydować, że chcą pozostać w domu i chronić swoje zdrowie. Są najbardziej narażone na zachorowanie i to właśnie one są głównie naszymi pacjentami – mówi Anna.

Wsparcie i wdzięczność

Bardzo wielu lekarzy dziękuję za ogromne wsparcie społeczne. Za akcje wspierające służbę zdrowia, za zbiórki, za przekazywane bezpłatnie dary. – To naprawdę daje poczucie, że ludzie myślą o nas, doceniają nas – mówi Anna.

– Pandemia na pewno wiele zmieni w świadomości wszystkich. Stracimy chyba trochę pewności siebie i wiary w to, że nad każdą sytuacją uda się zapanować – mówi o. Zdzisław. – Chciał-

bym, żeby został po tej epidemii duch solidarności, który jest teraz wśród wszystkich. Okazały się też mocno dobre cechy ludzi, otwartość i życzliwość personelu. Jestem pełen podziwu dla poświęcenia pracowników szpitala, ja tam jestem około pół godziny w całym tym stroju, a reszta po wiele godzin musi w nim pracować – dodaje o. Zdzisław. – W tym trudnym czasie staram się doceniać małe, drobne, codzienne sytuacje, za które jestem wdzięczna. Jest to bez wątpienia możliwość pracy, codziennego wyjścia z domu i robienia tego, co lubię robić najbardziej – mogę pracować z ludźmi i ich leczyć. Dziękuję też codziennie za ogromne wsparcie społeczne. Za akcje wspierające służbę zdrowia – to naprawdę daje poczucie, że ludzie myślą o nas, doceniają nas. Pokazuje to również, że społeczeństwo chce być solidarne, co bardzo podnosi na duchu – mówi Anna. ■

ks. Andrzej Chibowski
Bartosz Wieczorek

Lekarze, którzy wypowiedzieli się na potrzeby niniejszego materiału prosili o zachowanie anonimowości.

■ POCIĄG DO KAWY

Luwak – kawowy niewolnik

Wielu z nas zapewne słyszało romantyczną historię o jednej z najdroższych kaw świata, kopi luwak. Nie jest to jeden określony gatunek kawy. Nazwa oznacza sposób jej pozyskiwania. Jest to kawa wydobywana z odchodów zwierzęcia.

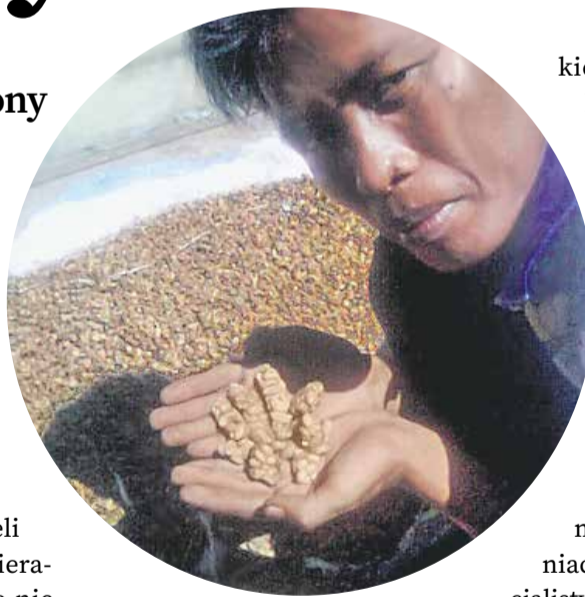
Uroczy futrzak, łaskun palmowy, lokalnie zwany luwak, trochę podobny do naszej kuny, żyje sobie na indonezyjskich plantacjach kawy. Zjada prosto z drzewa najdorodniejsze owoce kawowca, wygrzewając się w promieniach słońca i machając łapką do przyjaznych plantatorów. Owoce fermentują w jego przewodzie pokarmowym. Po takiej „obróbce” kawa zyskuje łagodniejszy smak i aromat godny najbardziej wyrefinowanego podniebienia. Powyższa opowieść, pokolorowana przez speców od marketingu, ma zachęcić do zakupu szalenie drogiej kawy, bez wspominania o znęcaniu się nad zwierzętami.

Rzeczywiste życie łaskuna wcale nie jest takie słodkie. Nie chodzi

tylko o to, że nie wygrzewa się w promieniach słońca, ponieważ prowadzi nocny tryb życia. Poszukiwanie jego odchodów pomiędzy krzewami kawowca to poszukiwanie igły w stogu siana. Co zrobić, żeby się nie narobić, a zarobić? Nic prostszego. Wystarczy zamknąć łaskuna, a najlepiej jak najwięcej łaskunów w klatkach i karmić owocami kawowca.

Ale za to jedzenia im nie brakuje, wiadomo im więcej kawy zjedzą, tym więcej kopi luwak. To niestety również nieprawda. W naturze owoce kawowca stanowią uzupełnienie diety. Zwierzę jest wszystkożerne. Poluje na drobne gryzonie, owoce, zjada owoce, zielone części roślin. Dieta złożona wyłącznie z owoców kawowca to dodatkowa udręka. Skąd w ogóle po-

myśl wybierania ziaren kawy z odchodów zwierząt? Na pomysł wpadli niewolnicy pracujący na plantacjach. Kawa była tak ekskluzywnym i drogim towarem, że tubylcy mieli całkowity zakaz picia zbieranej kawy. Myślicie, że to nie ludzkie? To co powiecie, na to, że za zniszczenie drzewka kawowca groziła im kara śmierci. Kawa z odchodów łaskuna była jedyną dostępną. Oczywiście tylko do czasu, kiedy plantatorzy zorientowali się, że można ją z powodzeniem sprzedawać, w dodatku jeszcze drożej. Od tej pory niewolnicy dalej zbierali odchody łaskuna, ale już nie dla siebie. Do tej pory napojem narodowym w Indonezji jest herbata. Powodem wyso-



Wszyscy lubimy czasem zaszaleć, a picie kawy, która kosztuje dwa tysiące złotych za kilogram, może podnieść naszą samoocenę.

kiej ceny kopi luwak ma być ekstremalnie mała dostępność tej kawy. Można znaleźć informacje, że zbiory roczne na świecie są szacowane na ok. 500 kg, chociaż inne źródła podają, że około 50 ton. Jest powszechnie dostępna. Bez problemu kupimy ją w internecie, na zamówienie w wielu palarniach kawy, również w specjalistycznych sklepach z kawą. Wielkość produkcji, wydaje się być taką samą prawdą, jak sielskie życie luwaka na bajkowo pięknych wyspach Indonezji. Zamiłowanie do luksusu to nic złego. Wszyscy lubimy czasem zaszaleć, a picie kawy, która kosztuje dwa tysiące złotych za kilogram, może podnieść naszą samoocenę. No chyba, że uświadomimy sobie, że słynna z braku goryczki kawa, ma gorzki posmak męczonych zwierząt. ■

Michał Włodarczyk

HISTORIA

Konstytucja 3 maja – inteligentny „zamach stanu”

Konstytucja 3 Maja była drugą na świecie (po Stanach Zjednoczonych), a pierwszą w Europie ustawą zasadniczą regulującą ustroj prawny Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Świętując wydarzenie, z którego każdy Polak powinien być dumny warto wiedzieć, iż uchwalenie pierwszej konstytucji w Europie odbyło się praktycznie w warunkach zamachu stanu. I bardzo dobrze, że tak się stało. Gdyby nie spryt posłów, pragnących reform Rzeczypospolitej, Konstytucja 3 Maja z pewnością stałaby się nic nie wartym kawałkiem papieru.

Rosyjski protektorat

Sytuację Rzeczypospolitej Obojga Narodów końca XVIII w. można określić jednym słowem – rosyjski protektorat. Wyniesiony na rosyjskich bagnietach na tron Stanisław August Poniatowski miał być w zamyśle carycy Ka-



Uchwalenie Konstytucji 3 maja 1791 roku, obraz Kazimierza Wojniakowskiego z 1806 roku

tarzyny jedynie bezwolnym narzędziem w jej rękach. Zacołanie gospodarcze, konflikty wewnętrzne, prywatnie sporej części przekupnej szlachty i niemal całej magnaterii dopełniały obrazu naszego kraju. Zimny prysznic w postaci I rozbioru Polski spowodował, iż znaleźli się ludzie pragnący prawdziwych reform mogących uratować Ojczyznę. Niestety, wśród posłów na Sejm Wielki bardzo silne było stronnictwo moskiewskie, które nad interes narodowy bardziej ceniło rosyjskie złoto. Doskona-

le wiedziało o tym stronnictwo reformatorskie skupione wokół króla.

Podejrzewa się, że już pod koniec kwietnia 1791 r. Stanisław August wtajemniczał kolejnych ministrów w zamiar wprowadzenia pod obrady konstytucji. Problemem było stronnictwo moskiewskie kontrolowane przez ambasadora Rosji w Warszawie – Seiersa. Słowem: posłowie-zdrajcy. Wiedzano, że z pewnością będą oni głosować zgodnie z interesem Moskwy, a nie Warszawy. W związku z tym w kręgach reformatorskich zrodził się pewien plan...

Obóz reformatorski postanowił zastosować wybieg. W obawie nie tylko przed niekorzystnym głosowaniem, ale i przed użyciem siły przez stronnictwo moskiewskie, nie ogłoszono daty rozpoczęcia sesji, tylko imiennie wezwano zwolenników reformy na posiedzenie w dniu 3 maja 1791 r. W związku z przerwą świąteczną (Święta Wielkanocne) większość posłów spodziewała się, iż obrady rozpoczną się dnia 5 maja, gdy tymczasem, ci z posłów, którzy mieli się dowiedzieć o wcześniejszym posiedzeniu przybyli na obrady z intencją uchwalenia reform. Inicjatorem owego sprytnego zabiegu był sam król. Wszy-

scy zgromadzeni zdawali sobie sprawę, iż nadarzyła się jedyna niepowtarzalna okazja, by przeformować korzystne dla Ojczyzny ustawy rządowe i postanowiono tą okazję wykorzystać.

3 maja 1791 roku o godzinie 11 rano przy pełnej mobilizacji stronnictwa patriotycznego rozpoczęto obrady. Obawiano się, że może dojść do krwawej rozprawy z przeciwnikami reform, stąd rozprawy rozpoczęły się przy asyście wojska dowodzonego przez Józefa Poniatowskiego. Obawy te nie były bezpodstawne – wiedzano, że hetman Franciszek Ksawery Branicki mobilizował już przeciwników zmian. Jak zwykle nie zawiodła stolica. Lud Warszawy stał za królem i zwolennikami reform – szacuje się, że w ochronę obrad zaangażowanych było łącznie 20 tys. osób. Król Stanisław August Poniatowski przemawiał tego dnia trzykrotnie, podkreślając pilną potrzebę naprawy dawnego ustroju toczącego przez „liberum veto”, które naówczas było już tylko karykaturą złotej wolności szlacheckiej. Po burzliwej debacie, w której uczestniczyło 182 posłów (zamiast 500) konstytucję uchwalono większością głosów. Przyjęcie ustawy zasadniczej zostało przyjęte gromkimi owacjami przez publiczność

i lud Warszawy zgromadzony przed zamkiem.

Rozbiór Polski

Można powiedzieć, że w pewnym sensie posłowie mieli już „doświadczenie” w uchwalaniu konstytucji... Otóż miesiąc wcześniej (4 kwietnia 1791 roku) posłowie Sejmu Wielkiego zatwierdzili konstytucję Rzeczypospolitej Pawłowskiej. Były to dobra ks. Stanisława Brzostowskiego pod Wilnem o powierzchni około 3 tys. hektarów, w których duchowny zamienił pańszczyznę „swoich” chłopów na czynsz czyniąc swoich poddanych ludźmi wolnymi. W tej „małej Szwajcarii” chłopci czuli się w pełni obywatelami – chodzili do szkoły, wprowadzali nowinki rolnicze oraz uczestniczyli w szkoleniach wojskowych. Co więcej, każdy gospodarz miał w swoim domu broń i mundur, by w każdej chwili stanąć do obrony przed wrogiem. Słowem – światły duchowny wyprzedził swoje czasy o około 100 lat. Niestety szlachta nie była gotowa na tak daleko idące zmiany.

O tym, że Konstytucja 3 Maja była prawdziwie reformatorskim (i dobrym) posunięciem można się było przekonać po reakcjach państw zaborczych. Ambasador pruski w Warszawie był przerażony, a caryca Katarzyna – wściekła. 100-tysięczna armia carska i 20-tysięcy targowiczian wmaszerowało w 1792 r. w granicę Rzeczypospolitej. Mimo dwóch wygranych bitew z Rosjanami (pod Dubienką i pod Zieleńcami) Stanisław August nie wierząc w zwycięstwo przeszedł na stronę targowiczian. II rozbiór Polski 1793 roku, Insurekcja Kościuszkowska i III rozbiór Polski wymazał nasz kraj z map Europy.

Jednak duch Konstytucji 3 Maja nie umarł przez lata niewoli. Konstytucja 3 Maja i krew przelana w jej obronie stały się ważnym elementem w pamięci zbiorowej wszystkich Polaków. ■

Jarostaw Mańka



Uchwalenie pierwszej konstytucji w Europie odbyło się praktycznie w warunkach zamachu stanu. Gdyby nie spryt posłów pragnących reform Rzeczypospolitej, Konstytucja 3 Maja z pewnością stałaby się nic nie wartym kawałkiem papieru.

PSYCHOLOGIA

Czas pożegnań z dawnym porządkiem świata?



fot. Dan Burton / unsplash

Wzdychamy do dawnego, znanego życia, czekamy na wielki powrót normalności, zadając sobie jednocześnie pytanie, czym ta normalność właściwie jest.

Przez skórę czujemy, że nie da się żyć tak jak dawniej, w pędzie i bez szacunku do siebie, natury i do innych, ale pożegnanie dawnego stylu życia, w którym lęk wydawał się być mniej obecny a wolność bardziej dostępna – po prostu boli.

Ludzka natura ma swój sposób na straty i pożegnanie opisany na przykład przez Elizabeth Kubler-Ross – psycholog i psychiatrę, która na podstawie swoich obserwacji z pracy z terminalnie chorymi pacjentami stworzyła model procesu żałoby, dzieląc go na pewne rozpoznawalne etapy.

Zaprzeczenie

Nie wierzymy w koniec, to pomyłka! Skupiamy całą swoją uwagę na utrzymaniu starego porządku, podkreślając wszystkie stałe i niezmiennie punkty. („to tylko krótka przerwa w zajęciach szkolnych”; „niedługo wszystko wróci do normy”; „to takie przedłużające się ferie”; „zawsze marzyłam o pracy zdalnej”). Przekonujemy się do tego, że właściwie nic się nie zmieniło w naszym życiu. Zaprzeczamy

rzeczywistości. Nasza życiowa energia kierowana jest w utrzymanie tego, co przemija. Ogromny ból i rozchwianie emocjonalne spowodowane zmianą (np. związaną z ograniczeniem wyjść na zewnątrz, zakazem korzystania z rozrywek, gromadzenia się w większym gronie) powoduje chęć utrzymania starego porządku – nie dowierzamy, że tego już nie ma, próbujemy zaprzeczyć i żyć jak dawniej.

Gniew

Dominującą emocją jest teraz złość – skumulowana energia, która pozwala poczuć jakąś siłę i moc. Pojawiają się pytania: – Dlaczego to spotkało właśnie mnie?! Nie zasłużyłem na to, przecież dobrze żyję! Pod spodem tego gniewu jest smutek i rozpacz, ale to elementy składowe kolejnego etapu.

Teraz ważna jest złość, która może prowadzić do agresji – łamania nowo ustanowionych zasad, narażania się („przecież mnie to nie spotka!”; „mam dość ograniczeń!”), nie liczenia się z obostrzeniami („to mnie nie dotyczy!”). To czas wyraźnej



fot. Unsplash

i wyrażanej niezgody na to, co się stało. Powoli zaczyna docierać bolesna rzeczywistość, ale jeszcze chcemy z tym walczyć: nie zgadzamy się z nowymi zaleceniami, buntujemy się wobec ograniczeń, chcemy wrócić do poprzedniego stanu, gdy wszystko było „jak kiedyś”, spotykać się, korzystać z kultury, relacji, zarabiać, wydawać, żyć bez ciągłego lęku o przyszłość.

Targowanie

To taki stan, gdy szukamy sposobów na to, by odwrócić sytuację, negocjujemy warunki, by „odwołać” to, co już nieuniknione, czyli stratę. To takie zaklinanie rzeczywistości: „Teraz to już

będę dbać o siebie, o planetę, zwolnię w życiu, byleby tylko było jak dawniej!”. Tutaj następuje pozorne pogodzenie się z nową rzeczywistością, przygotowanie do uznania straty, natomiast głównym celem nie jest akceptacja rzeczywistości, ale szukania sposobu na jej odczarowanie – co ma przywrócić stary porządek.

Depresja

To okres pustki, braku sensu, pojawia się poczucie osamotnienia, izolacji. To taki egzystencjalny moment, w którym zdajemy sobie sprawę ze straty. Pojawia się podsumowanie, zaczynamy widzieć, jak wielu rzeczy nie udało

się zrobić przedtem, jak bardzo nie korzystaliśmy ze swobód, przywilejów i praw, odkładając na potem różne wyjścia i spotkania, zbyt długo pracowaliśmy, nie mieliśmy czasu na domowe jedzenie i zajmowanie się rodziną, nie dbaliśmy o siebie. To wszystko wraca ze zdwojoną mocą. Ta złość wobec samego siebie i rozliczanie się z tego, co mogło być, a nie jest to bardzo destrukcyjny etap żałoby – przedłuża jej stan, „utrzymuje” stały porządek w mocy, zabierając siły witalne i energię do dalszego życia w tym, co jest, a nie w tym co było. Ten etap mija, gdy sami pozwalamy sobie na tę utratę (w przypadku zmarłego – psychicznie pozwalamy mu na odejście). Powoli zaczyna się etap akceptacji.

Akceptacja

Godzimy się z tym, co jest. Urealniamy się. Zdajemy sobie sprawę, że pożegnanie jest prawdziwe. Wraz z akceptacją pojawia się ulga, spokój i nowa jakość życia. To stan pogodzenia się z tym, co nieuniknione, to realna wizja życia po stracie i pogodzenie z losem.

Wygląda na to, że proces żałoby pomaga nam w tym, aby w pełni skorzystać z tej radości i twórczej zmiany, zacząć żyć jak dotąd, a może nawet bardziej, choć nie w tych samych warunkach. Proces żegnania się jest bogaty w emocje i długotrwały, ale zazwyczaj na końcu tej drogi jest twórczy spokój i siła. Następuje przewartościowanie zarówno w sferze materialnej i duchowej – w miejsce straty pojawia się coś nowego – ulga, wdzięczność, za to co było, pomysły na nowe życie, radość. Pojawia się miejsce na NOWE. A jakie to nowe będzie jeszcze nie wiemy i może to jest właśnie najtrudniejsze do wytrzymania i stanowi największe wyzwanie w czasie tych wszystkich pandemicznych zmian. ■

EDUKACJA

Dzieci same szukają wiedzy

Z Marią i Marcinem Rossami o edukacji domowej rozmawia Bartosz Wieczorek

Z roku na rok rośnie w Polsce liczba dzieci objętych edukacją domową. W 2017 r. było ich 13 955, co stanowiło wzrost o 26 proc. w stosunku do roku poprzedniego. Co państwa skłoniło do podjęcia decyzji o objęciu własnych dzieci tą formą edukacji? Czy to była taka szybka i pewna decyzja czy poprzedzona długimi rozmowami i analizami? I co ostatecznie zdecydowało o takiej formie kształcenia dzieci?

Maria: Zastanawialiśmy się jakieś dwa miesiące, więc nie była to taka szybka decyzja. Nasze dzieci nie chodziły do żłobka, chciałam, aby były w domu. Ze względu na wyznawane wartości, posłaliśmy dzieci do placówek katolickich. Nasza najstarsza córka jest bardzo społeczna, ale w szkole przeżywała różne napięcia związane z wymaganiami szkolnymi czy konkursami. Nauczyciele wystawiali ją do nich chętnie, ona z własnej woli szła, ale jednak to było dla niej za trudne. Naszej środkowej córce akurat zmienił się skład wychowawczy w przedszkolu, a ona nigdy nie była fanką tego miejsca. Syn zaś z kolei należał do dzieci, które są idealnymi przedszkolakami, ale potem odreagowują w domu. Zastanawialiśmy się, co robić? Czy zmieniać placówki? Wśród znajomych mieliśmy przypadek rodziny uczącej dzieci w domu i w mojej głowie zaczął świtać ten pomysł. Bałam się przede wszystkim, że dzieci będą społecznie nieprzystosowane i źle wykształcone, a że jestem z wykształcenia socjologiem, więc zerknęłam do badań odnośnie absolwentów edukacji domowej, amerykańskich i polskich. Wynikało z nich, że tak nie jest. W testach ogólnokrajowych dzieci z tej formy edukacji wypadły często lepiej niż te uczone tradycyjnie. Tak przygotowana przekazałam te informacje mężowi. Dużo rozmawialiśmy, ale Marcin nie miał jakichś dużych obiekcji.

Marcin: Byliśmy raczej sceptycznie nastawieni do edukacji domowej. Myśleliśmy, że to taka

wolna amerykanka i baliśmy się, że po prostu możemy zaprzepścić przyszłość naszych dzieci. Wzielibyśmy wielką edukacyjną odpowiedzialność za nasze dzieci, a nie mamy przecież wykształcenia w tej kwestii, nie jesteśmy pedagogami.

Maria: Taką, kroplą, która przeżyła była rozmowa z koleżanką, prowadzącą edukację domową, która zasugerowała, że to jest najlepszy moment. Klara, nasza najstarsza córka będzie w drugiej klasie, a dwoje dzieci mamy jeszcze w przedszkolu. Koleżanka poradziła, żeby myśleć o tym, że to tylko na rok. Jeżeli nie wypali, to nie będzie problemu z powrotem do normalnej edukacji. I tak się umówiliśmy z dziećmi. Zrobiliśmy to najpierw na rok.

Czy edukację prowadzą państwo sami jak rodzina czy też jest to jakaś grupa rodzin, grupa rodziców, którzy się nawzajem jakoś wymieniają?

Marcin: Pierwszy rok był taki, że zupełnie byliśmy w tym sami. Mieszkamy w Radości i dopiero w zeszłym roku poznaliśmy kilka rodzin, które też edukują w domu. Postanowiliśmy, że zajęcia dodatkowe z angielskiego będą wspólne.

Maria: Na zmianę też woziliśmy dzieci na zajęcia historyczne do Instytutu Pamięi Narodowej, gdzie potem dzieci wspólnie – u jakiejś rodziny – spędzały popołudnie na zabawie.

Marcin: Jest tak, że jak ktoś coś wymyśli, jakąś inicjatywę, to staramy się ją realizować. W Radości jest Arka, dom dla osób z niepełnosprawnościami i nasze dzieci z innymi chodzą tam na zajęcia z ceramiki. Kontaktują się tam z osobami niepełnosprawnymi, nabierają empatii.

Decyzja o edukacji domowej jest nadal rzadkością, co wiąże się często z brakiem akceptacji społecznej. Wiele osób boi się opinii rodziny. Jak to wyglądało



foto: archiwum rodzinne

Wśród znajomych mieliśmy przypadek rodziny uczącej dzieci w domu i w mojej głowie zaczął świtać ten pomysł. Bałam się przede wszystkim, że dzieci będą społecznie nieprzystosowane i źle wykształcone.

w Waszym przypadku? Jak decyzję przyjęło Wasze najbliższe otoczenie?

Maria: Mieszkamy w jednym domu z rodzicami. Postanowiliśmy im wcześniej o tym powiedzieć i ze spokojem rozmawialiśmy. Musieliśmy odbyć wiele rozmów, aby rozwiać wszystkie obawy, zwłaszcza dotyczące braku kontaktów społecznych. Znajomi przyjęli to spokojnie, obracamy się w różnych środowiskach. Jedni mają dzieci w szkołach państwowych, inni w prywatnych, część w katolickich.

Taka decyzja oznacza pewną rewolucję w życiu domowym lub zawodowym rodziny? Z reguły jeden z rodziców musi zrezygnować z pracy zawodowej...

U znajomych tak jest, mamy z reguły nie pracują. U nas była taka sytuacja, że przez trzy lata wcześniej ja rozkręcałam biznes z kalendarzami dla mam. Po zakończonym sezonie sprzedażowym postanowiłam zamknąć biznes. Przy czwórce dzieci nie było już na to czasu. Zdecydowałam się więc na rolę mamy w domu, ale to było jeszcze przed decyzją

o edukacji domowej. Wyszło to więc naturalnie.

Jest pani dyrektorką takiej małej rodzinnej szkoły. Jak wygląda dzień codzienny rodzinny? Jak szczegółowo jest wszystko zaplanowane?

Marcin: Podstawą jest dobry plan. W momencie, kiedy jakiś plan jest dobry, wtedy można się go trzymać.

To raczej plan tygodnia czy miesiąca?

Maria: Każda rodzina funkcjonuje inaczej, my funkcjonowaliśmy zawsze na planach. Nasze dzieci czują się w tym dobrze. Wiadomo, kiedy jest nauka, kiedy głośne czytanie, a kiedy jedzenie. Wiem, że niektóre rodziny funkcjonują w rytmie szkolnym, realizują podręczniki. Inne rodziny bazują na zajęciach spoza programu, dzieci mają dodatkową matematykę czy przyrodę. Inni kładą nacisk na prace plastyczne czy granie na instrumentach, a podstawę programową robi się jakby mimochodem w okolicy egzaminów. My funkcjonujemy na planie, ale nie jest on ścisły. Często się zmienia, na przykład w zależności od pory roku.

Są dni tygodnie, kiedy nauki jest dużo mniej, a są okresy, kiedy jest więcej?

Maria: Tak. Przykład. Nasza druga córka jest teraz w pierwszej klasie, ale że sama nauczyła się czytać i pisać w zeszłym roku to zrobiła do grudnia wszystko, co było dla niej ciekawego w książkach z pierwszej klasy. Zrobiła więc materiał z pierwszej klasy. Nie chciałam z nią przerabiać już drugiej klasy, więc umawiamy się na różne tematy, a poza tym czyta dużo książek.

Marcin: W ogóle dzieciaki czytają dużo książek. Na początku przyjęliśmy takie założenie, żeby dzieciaki nauczyły się same uczyć, zdobyły taką umiejętność. Trochę tak, jak na studiach, gdzie jest duży nacisk na samodzielność. My też staraliśmy się, żeby dzieci same szukały rozwiązań, wiedzy. Dlatego też mamy bardzo dużo książek i one pokochały książki. Nasza druga córka zaskoczyła nas, bo zaczęła sama czytać. Zazdrościła starszej siostrze, że ona czyta. Brała więc książki i z okładek przepisywała literki. Potem

Przyjęliśmy takie założenie, żeby dzieciaki nauczyły się same uczyć, zdobyły taką umiejętność. Trochę tak, jak na studiach, gdzie jest duży nacisk na samodzielność. I my też staraliśmy się, żeby dzieci same szukały rozwiązań, wiedzy. Dlatego też mamy bardzo dużo książek i one pokochały książki.

układała je w słowa i zaczęła je jakoś czytać, pytając się często starszej siostry. Teraz mamy podobną sytuację z trzecim dzieckiem, Frankiem, który podobnie zaczął przepisywać słowa. Wziął książkę o dinozaurach i wypisuje ich nazwy. Pocieszające jest to, że oni się wzajemnie wspierają.

Maria: Dużo też się kłóć...

Jest taki moment w edukacji domowej, kiedy trzeba zweryfikować swą wiedzę w szkole. Czy taka sytuacja jest dla dzieci stresująca, kiedy na co dzień nie kontaktują się ze szkołą, a potem muszą zdawać w niej egzamin?

Maria: Kiedyś też się bałam, że to będzie dla dziecka stres, ale teraz myślę, że nie. W tym miejscu należy zaznaczyć, że my nie mamy jeszcze doświadczenia z egzaminami z poszczególnych przedmiotów. Dzieci szkolne mamy w pierwszej i trzeciej klasie, plus dwóch przedszkolaków.

Marcin: Będąc w edukacji domowej trzeba być przypisanym do szkoły na terenie województwa.

Maria: My szukaliśmy szkoły, która będzie przyjazna edukacji domowej oraz takiej, która

buduje środowisko. Jesteśmy przypisani do szkoły Montessori Mountain Schools w Grodzisku Mazowieckim. To jest jedna ze szkół Fundacji św. Jadwigi. Ta szkoła jest dedykowana edukacji domowej, w związku z czym egzaminy to nie są klasówki, ale miejsce, gdzie dziecko ma pokazać, czego się nauczyło. Dzieci biorą ze sobą wszystkie prace, które robiły. Wszystko, co by chciały pokazać nauczycielowi. Jest też możliwość, aby rodzic był z dzieckiem w czasie egzaminu. Rodzice mogą przeczytać dziecku polecenie – nie wszystkie dzieci płynnie czytają nawet w trzeciej klasie – lub po prostu siedzieć koło niego. Nasza najstarsza córka kategorycznie nie chciała, abym z nią była. Z młodszą córką jestem umówiona, że wejdę na egzamin. Od rodziców dzieci z liceum wiem, że później też jest wszystko na przyjaznych zasadach. Uczeń jest zachęcony, aby zaprezentował swoją wiedzę, ale oceny są uczciwe. Jak ktoś się kiepsko nauczy, to dostaje kiepską ocenę.

Czy epidemia i związane z nią restrykcje dużo zmieniły w Waszym życiu?

Marcin: Zaburzyłem rytm pracując z domu. Do tej pory wycho-

dziłem rano, przed wstaniem dzieci i wracałem koło 18.00 i potem byłem już z rodziną.

Maria: W stosunku do rodzin, gdzie wszyscy spędzają czas poza domem, u nas bardzo mało się zmieniło. Tu w Radości mamy dom z ogrodem, gdzie dzieci mogą się bawić.

A jak się państwu mieszka w Radości, będącej częścią Wawra?

Marcin: Mieszka się tu świetnie. Bliskość lasu, mieszkamy w sumie w lesie – to jest coś rewelacyjnego. Bardzo cenimy sobie tę zieleni i spokój.

Maria: Dla nas jest tu idealnie. Może mieszkamy w takim dobrym punkcie? Możemy z dziećmi pojechać rowerami na plac zabaw, a tam mamy lodziarnię. Często korzystamy z biblioteki. Dzieci biorą udział w zajęciach w domu kultury. Nie ma w okolicy kina, więc do niego musimy jeździć. Jesteśmy bardzo zadowoleni z harcerstwa przy parafii. Czego mi brakuje? Może to raczej moje marzenie, aby poza szkołkami piłkarskimi były jakieś zajęcia sportowe dla dziewczynek, jak na przykład siatkówka.

Dziękuję za rozmowę. ■



foto: archiwum rodzinne

■ INNOWACJE

Jak Covid-19 zmienia przestrzeń publiczną

Pandemia wywołana wirusem COVID-19 zmienia nawyki ludzi. Nieuniknione jest, aby władze miast i mieszkańcy przygotowali się do nowej rzeczywistości. Zmiany, które nastąpią będą trwałe i musimy nauczyć się żyć nieco inaczej, bardziej odpowiedzialnie.

S pędziłem poza granicami kraju 7 lat i odwiedziłem 58 krajów. Często dziwiłem się Azjatom, którzy podróżując po świecie nosili maseczki. W wielu krajach mieszkańcy nigdy ich nie stosowali, a w Polsce gdzie mieszkam na co dzień, jak ktoś zakładał maskę to ze względu na złą jakość powietrza (Polska według WHO ma najbrudniejsze powietrze w Europie). Podobnie sytuacja ma się, jeśli chodzi o higienę rąk. W SEEDiA sprzedajemy produkty dla miast na czterech kontynentach. Często mamy gości z zagranicy i też sami ich odwiedzamy. Od Azjatów można uczyć się garściami, jak dbać o swoje zdrowie. Częste mycie rąk, unikanie dotykania przedmiotów, maseczki na twarzy to dla nich norma.

Nowe nawyki

Dzisiaj podczas lockdown'u, gdy ludzie są zamknięci w domach, widzimy w telewizji służby publiczne w maskach, polityków w maskach i sami, gdy wychodzimy z domu obowiązkowo zakładamy maski i dezynfekujemy na każdym kroku ręce. Każdy sklep, punkt obsługi, placówka poczty wyposażone są w stanowiska z płynami dezynfekującymi i rękawiczkami. To nie jest nowy nawyk na najbliższe tygodnie, a bardziej na lata. Teraz noszenie maseczek i higieny rąk – ich dezynfekcja, będzie nową normą na całym świecie. W plecakach obok powerbanka i ładowarki do smartfona będziemy mieli maski i płyny do rąk. Kolejnym nowym nawykiem, jaki musimy wypracować będzie tzw. social distancing – zachowywanie dystansu, unikanie zagęszczenia ludzi. To będzie szczególnie duże wyzwanie dla mieszkańców miast, ale nie mniejsze dla ich włodarzy, służb publicznych, które powinny zadbać o nasze bezpieczeństwo. Wspomnę jeszcze organizatorów



fol. materiały prasowe



wydarzeń, jak koncerty czy konferencje w hotelach. Charakter tych imprez na pewno nieco się zmieni i organizatorzy muszą się do tego przygotować już teraz. Już dziś widzimy, jak zmieniają się miasta. Co rusz na ulicach spotkać można służby dezynfekujące wiaty autobusowe, małą architekturę, miejsca publiczne. Policja kontroluje ilość osób w autobusach. W Krakowie wykonane zostało badanie powierzchni płaskich na produktach takich, jak bankomaty. Okazało się, że większość z nich nosi śladowe ilości wirusa SARS-CoV-2. Niegroźne dla ludzi, ale obecne, co tym bardziej motywuje do zmiany dotychczasowych przyzwyczajzeń.

Bezdotykowa rewolucja

Na szczęście na rynku dostępne są technologie, które pozwolą zmienić nawyki, zachowania, całe miasta. Po to, żeby nam wszystkim żyło się lepiej, bezpiecznie. Wiaty przystankowe wyposażone będą w systemy do analizy tłumy tak, żeby siatka komunikacji była dopasowana

nie tylko do natężenia ruchu, ale również do bezpieczeństwa jej użytkowników. Transport publiczny przejdzie wielką przemianę również z punktu widzenia projektowania – wiaty autobusowe, infokioski, biletomaty – wyposażone będą w specjalne antyseptyczne szkło zabijające bakterie i drobnoustroje. Lakerowane będą specjalnymi farbami, które posiadają własności bakteriobójcze. Zmieniają się również miejsca użyteczności publicznej, węzły przesiadkowe. Wyposażone będą w infokioski bezdotykowe, automatyzujące pracę urzędników, minimalizujące kontakt. Przed każdym urzędem dostępne będą automatyczne stacje do dezynfekcji, dzięki którym osoby wchodzące i wychodzące będą w stanie czuć się bezpiecznie. Podobnie, jak sami urzędnicy.

Bezpieczne miasta

Przemiany przechodzą również dostawcy technologii Smart City. Dzisiaj znacznie ważniejszy staje się aspekt bezpieczeństwa niż

„Już dziś widzimy, jak zmieniły się miasta. Co rusz na ulicach spotkać można służby dezynfekujące wiaty autobusowe, małą architekturę, miejsca publiczne.

gadzeciarstwa. Spółki dostarczające systemy analizy wizyjnej nagle okazały się znacznie bardziej potrzebne niż dotychczas. Ich rozwiązania instalowane są masowo we wdrożeniach pilotażowych w dużych miastach. W SEEDiA również przechodzimy „COVIDową przemianę”. Na bazie naszej technologii i roz-

wiązań zaprojektowaliśmy specjalną linię solarnych dezynfektorów miejskich dla przestrzeni publicznych, ale także biur, galerii handlowych. Autonomicznie, zdalnie zarządzane, bezdotykowe – czyli takie, jakie będą technologie przyszłości – dezynfektory będą mogły być wyposażone również w duże, bezdotykowe matryce e-papierowe, dzięki którym wszyscy dowiedzą się o sposobie postępowania i wyzwaniach miast. Nasze solarne przystanki autobusowe uzbrajamy w system analizy tłumy, aby pomóc miastom w zwiększeniu bezpieczeństwa. Tę samą technologię możemy wykorzystać w mieście do analizy odległości i ilości ludzi w autobusach.

Ławki solarne i inne nasze produkty wyposażamy w szkło antybakteryjne, które działa też na wirusy (obecnie trwają badania, które mają potwierdzić czy ta technologia wybija również COVID-19). Większość naszych produktów ma możliwość dodania modułu dźwiękowego, do którego zarządcy mają dostęp zdalny i mogą wgrać nagrania edukujące lub ostrzegające o zaistniałej sytuacji np. epidemiologicznej.

Miasta muszą się zmienić – dla dobra mieszkańców i ich bezpieczeństwa. Jako SEEDiA robimy ile się da, żeby w tej przemianie pomóc i wspierać. Dzisiaj Smart City będzie oznaczało również Safe City. ■



Artur Racicki i Piotr Hołubowicz
Współzałożyciele SEEDiA